









BIBLIOTEKA MRÓWKI. Tom 106 i 107.

WŁODZIMIERZ SPASOWICZ.

WŁADYSŁAW SYROKOMLA

STUDJUM LITERACKIE.

*Biblioteka
Józefa Polakowskiego
Instytutu Wychowawczego
Kolegium*

*Dziękuję Pani Ma-
łemu za powołanie biblioteki
prezji szanuje
L. Syrokomla*

L W Ó W.

KSIEGARNIA POLSKA

A. D. BARTOSZEWICZA I M. BIERNACKIEGO

14. Plac Halicki 14.

3.4.10



83553

L-Opr

I.

Ze wszystkich stron naszych najbardziej obfitującami nie tylko w źródła mineralne, ale i w kastalskie krynice samorodnej poezji, są okolice nadniemeńskie. Z podań kronikarskich wiemy, że kwitła tam niegdyś poezja wajdelotów na dworach drobnych kuni-gasów; ale to źródło zostało całkowicie zasypane i przykryte krzyżem, tak, że odszukanie jego daleko jest trudniejsze, aniżeli wynalezienie w Puniach szczątków zamku Pullen, wśród których Kondratowicz usadowił swojego Margiera. Z tego krzyża i z polskiej szlacheckości wyrosła nowa roślina, której rozkwit pełen chwały i blasku nastąpił dopiero wtedy, gdy i krzyż był trochę zachwiany, i szlacheckość przestawała być instytucją, przenosiła się z życia do pieśni, to jest gdy pieśniarstwu pozostawało balsamować jej zwłoki. Pod względem wzrostu, poezja jest jak ta znana agawa amerykańska-

ska z gatunku aloesów, która wydaje kwiat raz w lat 30 przez godzin kilka, z tą różnicą, że kwitnienie bywa jeszcze rzadsze, w nieokreślonych odstępach, co kilka często wieków. Epokę poetycką otworzył Mickiewicz, na wieść o śmierci którego Zygmunt Krasiński napisał te znaczące słowa: „On był dla ludzi mego pokolenia miodem i mlekiem, żółcią i krwią duchową, my z niego wszyscy; on nas był porwał na wzdętej fali swego natchnienia i rzucił w świat, — największy poeta wszystkich plemion słowiańskich (*).“ Wszystkie umysłowe siły całego narodu zwróciły się głównie ku tej produkcji poetyckiej; w produkcji tej uczestniczyła i Litwa: nieprzejrzany był prawie szereg towarzyszów Mickiewicza, jego naśladowców, poetów polskich litewskiej szkoły. Ostatnim w tym szeregu śpiewakiem zdolniejszym i wydatniej oryginalnym był *Ludwik Kondratowicz*, znany pod przybranem imieniem Władysława i herbownem swem nazwiskiem Syrokomi. W pięknej swej pracy nad jego życiem i dziełami Tyszyński porównywa go do jaskrawej jeszcze i wielkiej, ale nie skwar-

*) Kronika Rodzinna 1875 r. str. 168. List na wieść o śmierci Mickiewicza.

nej i o łagodnych promieniach głowy zachodzącego słońca poezji nad Niemnem. Sam Kondratowicz o ile był drażliwy i sławy żądny, o tyle lekliwie skromny, nigdy nie próbował górnych lotów, nigdy nie wieszczył z trójnoga, lecz chciał uchodzić tylko za słowika nadniemeńskiego, za grajka poczciwych wiejskich nędzarzy (*), za lirnika wioskowego, który na uczcie bogacza nie szuka dusz bratnich, bo byłby gościem ostatnim z ostatnich i stałby tylko u proga (VI, 313): który unika jasnych panów mających narów, że za swój pieniądz chcą dobrych towarów; który dla ciebie śpiewa, gminu szaraczkowy, nutą zniwiarską w takt brzęku kosarzy (VII, 248). Na ten ulubiony temat Kondratowicz gra nieskończone, a zawsze świeże warjacje, wraca do niego tysiąc razy (VI, 247. Dedykacja gawęd; 154. Nie ja śpiewam; 186, Piosnka; 236, Fietnia: VII, 5, Orszak pogrzebowy; 206, Co jest poeta; 299, Milczenie poety). Najpiękniejszym z pomiędzy tych warjantów i jednym z najprzedniejszych w liryce polskiej brylantów jest *Lirnik wioskowy* (VII, 242), sielanka skomponowana w Żalczu 1852 roku, znakomita apostrofa do liry

*) Tom VI, wydania poezji L. K. str. 313.

śpiewnej „z czarodziejskiego drewna“; która stanowi i szczęście artysty, gdy do jego twarzy bladej uderza krew gorąca:

Niech sobie boli ręka,
 Niech sobie serce pęka;
 która bywa i „pokaraniem bożem,
 Bo niby ostrym nożem,
 Piosnka serce przenika.

Lirnik, człek prosty, ale podejrzliwie dbały o swoją niezależność i o cześć dla swej pieśni:

Znaj co hardość śpiewacza!
 Ja przed nikim nie zniżę
 Ani pieśni, ni głowy;
 Hardy lirnik wioskowy,
 Skonam grając na lirze.

Lirnik nie szerokie zakreśla sobie pole działania:

Grać wiele,
 Panu Bogu w kościele,
 Dobrym ludziom w gospodzie;

ale zna moc swoją nad sercami ludzkimi, i zna nieśmiertelność swej pieśni:

Ej rozgłośnie, rozgłośnie
 Twoje echo urośnie,

Zolbrzymieją me słowa,
 Pójdą z kraju do kraju,
 Do samego Dunaju,
 Do samego Kijowa.

Każdy poeta ma chętkę skreślić dla potomności swój własny konterfekt na pamiątkę; najczęściej takie moralne portrety są poczebione i piękniejsze od oryginałów: o Kondratowiczu tego powiedzieć nie można; oryginał pozostał wiernym wizerunkowi aż do samego końca, w biedzie i nędzy; grajek skonał grając na lirze, nie zniżywszy ani razu ni pieśni, ni głowy, z nieugiętą dumą nie osobistą, ale profesjonalną, wynikającą z pojmowania swojej sztuki jako pewnego rodzaju świętości; z obawy, aby pieśni „nie podać w ohydę.“ Kreśląc swój ideał w Lirniku wioskowym, Kondratowicz kładł sobie za cel i zadanie, być poetą nie tylko narodowym, ale głównie ludowym; pomijając salony, być ulubieńcem ludzi niewybrednych a prostych. Z tego stanowiska rozważany, był on duchem w wielu względach pokrewnym Tarasowi *Szewczenko*, którego „Kobzarza“ w znacznej części na polski język przełożył. (X. 210 — 289). Pomijamy ogromne różnice stanu, pierwiastkowego wykształcenia i rasy:

Kondratowicz, był to szlachcic, który się świadomie z wielkiej miłości do ludu prostaczył, i do jego pojęć stosował i zniżał; Szewczenko, to chłop przesiąknięty tradycjami kozaczyzny, który nie wie, jak urósł niby dąb wielki na pustym, ukraińskim stepie. U obu też prostota i świeżość wrażeń, jednakie prawie rozmiłowanie się w naturze dość ubogiej kraju, tenże sam realizm w malowaniu prostych przedmiotów, branych przeważnie z życia wiejskiego; też sama głębia uczuć z odcieniami większej rzewności i lekkiej żartobliwości u Syrokomli, ponurej dzikości i namiętności u Szewczenki; też sama niezdolność do realizowania tematów historycznych, głębszych i skomplikowańszych pomysłów, nakoniec też sama bezdżietność, brak ludzi którymby oddać mieli i przekazać swoje liry drewniane, przeznaczone na próchno. Taras Szewczenko jak był, tak i pozostał całkiem samotny, jako dąb na stepie, i bardzo długiego czasu i wyjątkowo sprzyjających okoliczności trzeba, by ten step zadrzewić pracowicie sadzonymi i pielęgnowanymi dębami, które nim wyrosną, może przemysł, koleje żelazne, cukrownie zmienią warunki bytu kraju. Kto wie, czy ukraińszczyzna nie utonie, pochłonięta wielkim prą-

dem rosyjskiej kultury, czy nie pójdzie na strawę i pokarm temu olbrzymiemu ciału, tracąc swoją odrębność i samoistność literacką. Inaczej rzecz się ma z Kondratowiczem, który wyrosł i wychował się w wielkiej i pełnej wyrobionych podań szkole poetyckiej. Kiedy Kondratowicz umierał, szkoła ta w całości swojej wszechpolskiej i w kompartmentie litewskim szła ku końcowi, po całkowitem wyczerpaniu swojego zadania, po ostatniem wyśpiewaniu swoich ideałów. Społeczeństwo każde tembardziej się lubuje w ideałach, im mniej ma możności tworzyć coś realnego w stosunkach towarzyskich. Nowe społeczeństwo kochało się w swoich półsennych marzeniach poetyckich zapamiętałe, bo przez pół wieku przeszło nic nie zostawało innego, jak marzyć; żadnego nad niczem obradowania, żadnego łączenia rąk do jakiegokolwiek chociażby najdrobniejszej, ale wolnej i jawnej roboty: lecz budowanie każde kończy się gdy nie stanie budulcowego materiału, kiedy ustanie zasób coraz to nowych, przybywających wrażeń. Przytem czas sprowadził i dawno wyglądane, a niecierpliwie oczekiwane zmiany bardzo rdzenne w składzie społeczeństwa, wyzwolenie włościan; w grze społecznej przetasowane zostały karty,

powstał zgiełk i zamęt pełen dyssonansów, jak zawsze gdy się biorą za boki i ścierają sprzeczne żywioły i interesa materialne, gdy się pojawia jeszcze nieuregulowana zwyczajem i rutyną walka o byt i o miły grosz. Można z pewnością powiedzieć, że gdyby nawet nie zaszła wadliwa i zgubna w swoich następstwach zawierucha 1863 roku, życie popłynęłoby całkiem innym korytem, i nastąpiłby zwrot ku krytyce, ku pozytywizmowi, wylew doktryn przeważnie materialistycznych, nieodbicie koniecznych dla użyznienia mułem zjałowiałego przez tak długi czas gruntu. Kondratowicz znacznie z wielu względów przerastał swoją epokę i był, jak postaramy się dowieść, gorliwym a czynnym nowatorem przez swoje tendencje. Poezja szkoły kończyła w nim swoją ewolucję, wracała do źródeł z kąd poszła pierwotnie, do ludu, spadała jako żołądź dojrzały zakopać się w ziemię, aby dać początek nowym na przyszłość porostom, ale na razie nie mogła tworzyć szkoły i była niesłychanie trudną do naśladowania, bo czar jej cały zawierał się nie w górnych lotach, nie w bogactwie i różnaitości przedmiotów nie w sposobie śpiewania i metodzie, ale w tem, co najindywidualniejsze w gardziółku słowiczem i

szale śpiewaka, w tem, że sam on był z natury jako najdoskonalszy instrument muzyczny, dźwięczący harmonijnie i mocno za lada wrażeniem aż do zerwania się strun. Dla psychologa nie może być przedmiotu bardziej uderzającego i ciekawego nad ten „szał pieśni“, nad to dramatyczne zaśpiewanie się na śmierć, nad pełny blask talentu aż do ostatniego tchnienia, kiedy ręka piórem nie włada i w mózgu plątały się myśli. Zastanówmy się chwilę nad tym ostatnim okresem życia poety, obejmującym rok 1861 i sięgającym do daty śmierci poety przypadającej na 15 września 1862 roku; jest to okres szybkiego fizycznego rozkładania się organizmu, ale zarazem „Poezji ostatniej godziny“ i „Melodji z domu obłąkanych.“ Z Tyszkiewiczowskiej Borejkowszczyzny, Kondratowicz przeniósł się do Wilna, w gwar i turkot uliczny; nawiedzają go bez ustanku ludzie znajomi i nieznajomi, których on kocha, ale chciałby mieć zdaleka, bo go nudzą i męczą, zabierają czas i drogie, w stosunku do środków poety, cygara. (List do Chęcińskiego w dziele Kraszewskiego *W. Syrokomla* str. 188). Przez całe życie poeta biedę klepał; *pāne carco*, pisał jeszcze w 1854 roku do Kraszewskiego, utrzymując liczną rodzinę

z kilkunastu osób. Ztąd konieczność pisania i sprzedawania jeszcze na pniu swoich przyszłych umysłowych plonów, przykra przez całe życie zależność od żydów za komorne, za pobrane zadatki. Głośny na całą Litwę poeta nie ma często drzewa na opał, pracuje przy łożówce, Do udręczeń moralnych przyłączyły się straszne cierpienia ciała, nogi obezwładnił artrytyzm, na który nie pomogły Druskieniki ni Birsztany, zdeklarowało się rozszerzenie śledziony i wątroby, kaszlanie z krwią, suchoty, przytem pełna świadomość o zbliżającym się kresie (*Solum mihi superest sepulchrum*. Kraszewski, 172), przeczuwanym jeszcze na lat dwa przedtem w Śmierci Słowika (1859, VII, 195). Jeden tylko Heine cierpiał może więcej i dłużej; jak u Heinego pieśń nie ustaje, przedmiotem jej staje się sama choroba, w przestankach cierpień czarodziej śpiewak, któremu dano było cierpieć pięknie, przetapiał ostre uczucia bólu na szczerę złoto pieśni, urągał się losowi najdobroduszniejszym żartem, szydził ze śmierci, zanosząc się od pustego i dźwięcznego jak dziecięcy śmiechu, pisał cudowną bufonadę: Owidyusz na Polesiu (VII, 252), opisywał najpocieszniej swój własny pogrzeb, kaszlanie dzwonu szczerbatego, pochód czterech dzia-

dów boso ze szpitalnicami, z organistą na czele, co się chysta i beczy antyfonę, niosących trumnę poety, co w „obłokach się kołysał, Wiersze pisał, Dał każdemu wieść się w pole“ i umarł głodną śmiercią literata, po zgryzieniu jego wierszy w dobrej chęci przez recenzentów. Po tych utworach należących jednak do historii literatury i do medycyny, jako będących objawami patologicznymi, szły już takie, które dyktowane były w samej malignie konania, jak ta niedokończona powiastka: *Dwa obrazy*, na którą słusznie zwrócił uwagę Tyszyński, dziwaczna płatanina pięknych i pełnych świeżości widziadeł, kojarzących się bez sensu jak we śnie, kiedy ustaje grupowanie pojęć władzą rozsądku: nakoniec list niezrozumiały do Kraszewskiego, dyktowany na godzinę przed śmiercią. Kondratowicz spełnił prawie dosłownie co sobie założył; umarł grając na lirze, z tą tylko różnicą, że nie śród pól i lasów, lecz przy turkocie miejskim i prawie na bruku.

Na wieść o śmierci drgnęło uczucie publiczności, uprzytomniła się wszystkim wielka narodowa strata; wspaniała była pompa pogrzebu, wieniec laurowy naciśnięty był w trumnie na głowę zmarłego, tysiące rąk sypały

mogile, zrobiono obywatelską składkę na rodzinę, obmyślano środki skupienia w jednym wydaniu tego niezliczonego mnóstwa drobnych broszur i lotników, w których na nędznej bibule, żydowskim nakładem i lada jakim drukiem rozlatywały się po świecie pieśni poety. Mimowoli rodziło się do dzisiaj wielokroć powtarzane w literaturze naszej perjuryczne ubolewanie: czemu ta pomoc była tak spóźniona, czemu nie przybyła aby osłodzić ostatnie chwile chorego, i uwolnić go od dojmujących trosk o chleb powszedni dla niego, dla żony z dziećmi? Wynikała z tych ubolewań zawila i trudna do rozstrzygnięcia kwestja między światem i poetą, o to kto winien, że taki był koniec żywota, w takich warunkach i w takim otoczeniu i materialnie przykrem i moralnie zbyt chłodnem? W tej kwestji moralnej o poczytaniu, w której w roli oskarżonego staje towarzystwo, głębsze i wszechstronniejsze rozważanie okoliczności prowadzi w końcu zwykle do wielkiej wyrozumiałości i do wytłómaczenia, dla czego coś się stało tak a nie inaczej. W życiu prywatnem Kondratowicz nie był świętym człowiekiem, miał swoje jawne przywary i grzechy. Że się nie urządził ze swojemi środkami praktyczniej,

trudno mu mieć za złe, kiedy w najlepszym przypadku nakładcy płacili mu po dwa złote od wiersza, a często dziewiętnaście gąb głodnych czekało pożywienia od niego za stołem. Ale Kondratowicz odbiegał żonę, wiódł życie luźne w Wilnie w kółku aktorsko-literackim, rozgrzewał natchnienie trunkiem, prowadził romans z zamężną kobietą, nawet próbował rehabilitować ten romans w jedy-
nym poemacie swoim, w którym miłość stanowi główną rolę: *Stella Fornarina*. Coś z tych zarzutów słyszano nawet z kazalnicy w czasie pogrzebu; trudno jednak przypu-
ścić, aby w najbardziej dbałem o obyczaje społeczeństwie, mogły te winy zaważyć na szali, gdyby się na serjo zajęto niesie-
niem pomocy cierpiącemu, wielce zasłużone-
mu człowiekowi. Bez porównania większe winy przebaczano, zbywano płazem, pze-
puszczano wiele w milczeniu, *tacito con-*
sensu, stokroć mniej zasługującym ulubień-
com publiczności, nie podnosząc i nie wy-
tykając ułomności ludzkich czysto prywa-
tnych, skoro pisarz i człowiek publiczny byli
niepokalani i wolni od zarzutu. Ścisłe ra-
chunki osobistych zarzutów są często upozo-
rowaniem niechęci, z głębszego pochodzącej
źródła, przynajmniej oznaką, że upodobanie

w poecie nie jest bezwzględnie powszechne, jednakowo podzielane. Inaczej być nie mogło; sam Kondratowicz nie taił się ze swemi predylekcjami, tysiąc razy powtarzał, że pisze dla gminu arcy-szaraczkowego, miał wrodzony wstręt do fraka i nienawiść do białego halsztuka, sam powiadał: „Chciałem kreślić gmach pański ołówek się kruszy“, a kiedy stawiał błędne kreski, zawsze wychodziły z pod ręki „lub litewska chatka, lub kościółek wioskowy, lub dworek litewski.“ (Co umiem nakreślić, 1860 r. VII, 220). Panowanie uznane i hołdy niezaprzeczone bywają najczęściej udziałem nie tych, co byli najzdolniejsi i najlepsi, lecz tych, którzy przezorniej łódkę swoją prowadzili, baczni by się nikomu nie narazić, i by się nie rzucić z arfą, niby z bronią w rękę, w wiry ścierających się materjalnie interesów. Całym światem rządzi wielkie prawo zamiany usług; dobrem płaci się tylko za nadobne; można osiąść królestwa świata, ale trzeba spełnić warunki kusiciela. (Ew. Łuk. IV, 7): „Jeżeli pokłonisz się będą twoje wszystkie.“ — a Kondratowicz, co sprzedawał żydom nakładcom nienapisane jeszcze pomysły i brał z wdzięcznością zasiłki od tych, o których wiedział, że nie mogli go swoim datkiem od

serca upokorzyć, o nic więcej nie dbał, tylko o to, aby nie zniżyć ni pieśni ni głowy. Ztąd wynikało, że ci, którzy z rodu i mienia zajmowali pierwsze miejsca w obywatelstwie krajowem, a dla których Kondratowicz jak sam to wyznawał nie pisał, nie wzięli na się początkowania w składce narodowej, jedynej formie ofiary, którą mógł Kondratowicz bez upokorzenia przyjąć, a która była zupełnie możebną w warunkach 1862 roku, czego dowodem to, że taż składka na rzecz rodziny doszła do skutku w chwili zapału, pod naciskiem wstrząśniętej elektrycznie śmiercią poety opinii publicznej. Sypnięto kwieciami na mogiłę, otworzono kieszenie, pomyślano o literackim namogilnym pomniku. Piękną podstawę do tego monumentu stanowi wydanie Poezji Kondratowicza w 10-u tomach w Warszawie 1872 roku, bardzo starannie i chronologicznie uporządkowanych przez W. Korotyńskiego. Materiałów do życiorysu nie brak, pełno jest jeszcze ludzi, którzy ze swoich osobistych wspomnień, mogliby dużo i do życiorysu i do charakterystyki zmarłego dorzucić (pp. Korotyński, Pietkiewicz, Titius, Paszkowski, Horain, Walicki, Krupowicz); dwa nawet większych rozmiarów tymczasowe posągi zostały odlane przez J. I. Kraszew-

skiego (Władysław Syrokomla, Warszawa, 1863) i A. Tyszyńskiego. (Zeszyty sierpniowy i wrześniowy Biblioteki Warszawskiej za rok 1872, Ludwik Kondratowicz i jego poezje). W obu tych znakomitych wizerunkach, z których pierwszy jest nekrologiem, dorosłym do rozmiarów książki, a drugi próbą krytycznej oceny Kondratowicza w całości jego utworów, Kondratowicz staje nam przed oczy w wierszach, domowem życiu i poufnej korespondencji jak żywy; wskazane dokładnie źródła natchnień, podział rozwijania się talentu na okresy, a zasłona rzucona na takie tylko szczegóły, które powinny były być zamilczane przez wzgląd na okoliczności czasu i na żyjące jeszcze osoby. Oba te wizerunki podobne są do szkiców nieoprawionych i rzuconych na luźne kartki papieru w białej przestrzeni bez otoczenia, to jest bez charakterystyki epoki nie wchodzącej w zakres założonego przez autorów zadania. Postać poety może tylko wygrać, jeżeli oprawiona będzie w ramki, jeżeli przedstawiona będzie na tle epoki tak jeszcze niedawnej, ale już ubiegłej w przeszłość, już dającej się na dobre odgrodzić od dnia dzisiejszego. Zadanie się rozszerza i stawia w ten sposób: Co zawdzięcza Kondratowicz swoim poprzednikom,

swojemu wiekowi, i w jaki sposób oddział, oddziaływa i oddziaływać będzie na swoje społeczeństwo i potomstwo? Zadanie obszerne i nie dające się prędko wyczerpać, ale do rozwiązania można się przyczynić nawet małym zysiłkiem i nawet po mistrzach. Biorąc się do tej próby odsyłam czytelnika do szczegółów biograficznych, zebranych przez Kraszewskiego i Tyszyńskiego; przypuszczam, że mu te szczegóły znajome i zacytuję te z nich tylko, które podług mego rozumienia, miały w rozwijaniu się jego talentu istotne znaczenie

II.

W domu prostego szlacheica, naprzód komornika czyli geometry, a później drobnego dzierżawcy w dobrach Radziwiłłowskich, Aleksandra Kondratowicza, herbu Syrokomla (Kraszewski, 214) urodził się 17 września 1823 roku w Mińskiem, syn Ludwik Władysław, którego ojciec wychowawszy do lat dziesięciu w domu na razowym, jak to mówią, chlebie, bo był małego dzierżawcy nie odznaczał się dostatkiem, oddał na wychowanie do Nieświeża do księży Dominikanów. Na tej skromnej szkole zaczęło się i prawie skończyło jedyne systematyczne wychowanie, jakie kiedykolwiek otrzymał Ludwik, bardzo ubogie i niedostateczne, przytem ściśle wyznaniowe, księżę, o którym przez podanie tylko można mieć pojęcie, bo już nie istnieje ono od dawien dawna w naszych stronach. Siła o niem możnaby rzec i dobrego i złego, to pewna, że niepodobne ono było do da-

wnego jezuickiego, opierającego się na Alwazie i batogu, ani nawet do pijarskiego; ale już było półświeckie, utemperowane dobroczynnym wpływem wileńskiego uniwersytetu, któremu szkoły duchowne były podwładne. Nie podlega wątpliwości, że klasztorne sposoby nauczania nie pasują do wymagań społecznej pedagogiki, której głównem zadaniem jest wyostrzyć rozum, rozwinać w człowieku krytykę, samodzielność sądu i wzbogacić wiedzę. Ojcowie duchowni patrzyli na te rzeczy cokolwiek inaczej, ich nauczanie gruntowało się na powadze, miało punkt wyjścia teologiczny, miało przedewszystkiem na celu wykształcić uczniów na ludzi bogobożnych, nie zaciekających się badawczo w dogmat, lecz przyjmujących sercem na wiarę tak ten skończony dogmat jako i gotowe a jak linie proste prawidła moralności. Nauczanie było to i fizyczne i moralne, ćwiczenie w nauce i w wierze (*Szkolne czasy Dęboroga* III, 312 i nast.) i więcej w ostatniej niż w pierwszej, by człowiek:

„Nie latał nigdy skrzydłami Ikara,
I pewny swej prawdy nie troszczył się wiele;
W sobotę jadł z postem, a święcił w niedzielę.
Wszelka moralność na czemkolwiek bądź,
choćby na czystej powadze oparta, jest

godna największego poszanowania, i nie da się niczem dla ogółu zastąpić, jeżeli tylko jest z tego świata, to jest jeżeli jej przepisy postępowania nie są w otwartej wojnie z potrzebami wieku. Ostry tego rodzaju kryzys zdarza się rzadko, i nim nastąpi, wiara i wiedza układają się wzajem, zawierając tysiączne kompromisa, które z łatwością przychodzą do skutku, dopóki jeszcze sam morał nie jest do szczytu przeżytym, to jest dopóki jest możność dać mu oprócz teologicznej — zasadę racjonalną. Ze szkół klasztornych mogli wychodzić ludzie światli, postępowi, sam Mickiewicz uczył się u księży Dominikanów w Nowogródku, a na wielką zaletę nauczycieli mówi ta okoliczność, że mimo rygoru i chłosty, wychowawcy tych szkół J. Chodźko, Kondratowicz przechowali dla nich najserdeczniejsze prawie synowskie uczucia. Kondratowicz sam podał w *Szkolnych czasach Deboroga* wyidealizowane nieco sprawozdanie z tego, jak się uczył, i czego się uczył. Wychowanie nie było wcale ascetyczne. Uczniowie kwaterowali w zamożnem miasteczku na wolnych kwaterach, i przychodzili tylko do klasztoru na lekcje. W miasteczku arcykatolickiem pełno było kościołów i klasztorów, erylgowanych w tych samych

miejscach, gdzie nieco przedtem czynne były kalwińskie zbory i arjańskie drukarnie. Nad wszystkimi kościołami górowała w upadku nawet pyszna, ogromna rudera o trzech wieżach, oblana stawami, otoczona wałem, zamek Radziwiłłowski uszkodzony w 1792 r. i spustoszony jeszcze bardziej w 1812 roku. Jeżeli ta prawie królewska ruina, w której sklepach butwiały kości właścicieli, a na strychach ich portrety, była jak grób pusty przez upiory tylko nawiedzany, za to klasztor ze szkołą był niby kawałkiem dawnej Polski, żywcem przeniesionym w wiek XIX, zrosłym mimo to przeniesienie z całą przeszłością, nie tylko religijną lecz i polityczną, z tradycjami samorządu, szlachectwa, wielkiego rygoru domowego i cnót publicznych. Dworki szlacheckie były w najściślejszej zażyłości z klasztorem, w nieustannem obcowaniu na festach, popisach szkolnych, majówkach, na Ś ty Piotr, i w dzień Bożego Ciała, kiedy pod gołem niebem przed ołtarzami ubranymi w kwiaty, wśród świec jarzących i setnych chorągwi, a dymu kadzideł, grzmiały z tysiąca piersi suplikacje. Nic nie wyrówna mocy i trwałości tych pierwszych wrażeń młodocianych, jasne obrazy, ogrzane całą pełnią uczucia zapadają w głąb duszy,

gromadzą się jak w skarbcu na całe późniejsze życie, stanowią główny zapas, prawie jedyny materiał dla artysty, z którego on wciąż snuje tkanę pajęczą swych pomysłów. Zapas ten do pewnego tylko wieku się przysparza, później z przytępieniem wrażliwości, człowiek przestaje się odnawiać i tylko układa a grupuje to, co za młodu przeszło przez świadomość jego i zostało złożone w pamięci. W późniejszym wieku można się wielu rzeczy nauczyć, odmienić po kilkakroć swoje przekonania, pozbyć się swej wiary, zwalwszy ją aż do ostatniej cegiełki, stać się zupełnym sceptykiem; a mimo to nie być pewnym siebie i zabezpieczonym przeciwko gwałtownemu powrotowi wyobrażeń, które zdawały się zapomnianemi i przeżytemi. Najmniejsza i najbardziej obojętna okoliczność może prawem logicznego kojarzenia się pojęć trącić o przeszłe rzeczy, wywołać i odnowić obraz, a wraz z obrazem zjawiającym się jak zeskrabane pismo na palimpseście, to uczucie, które obraz ten ożywiało i przenikało. Uczucie to może być w danym przypadku silniejsze nad rozum i sprawdzić poraz tysięczny tę bajkę Krasickiego, że mędrzec co firmament mierzył, nakoniec nie-

tylko w Pana Boga, ale i w upiorów uwierzył.

Od tych uwag ogólnych wróćmy do Kondratowicza. Ziarno religijności padało na bardzo dobrą rolę; co się zapisało wtedy wrażeniami do duszy, to pozostało niezeskrobane i niczem nie przykryte. Kondratowicz miał i przechował wiarę zupełnie prostą z katechizmu, ale wiarę artysty, to jest był w niej jak w swoim żywiole, z niej przął swoje pieśni, bez niej nie umiałby nic tworzyć. Przyszło potem doświadczenie; ocierając się o ludzi, nasłuchiwał się wszelkich wątpliń i negacji; negacje te wchodziły jednym uchem, wychodziły drugim; ani do badawczego zaciekania się w prawdę nie czuł on najmniejszego powołania, ani próbował poetyzować wątplenia, od którego instynktowo stronił, bo było nieharmonijne i niepiękne. Po naukach w Nieświeżu, a potem w 5-tej klasie powiatowej szkoły w Nowogródku, chociaż zakopany na wsi w Marchaczewszczyźnie, a potem w Załuczu, Kondratowicz nie był, o ileby się mogło na pierwszy rzut oka zdawać, pozbawionym możności znajomienia się z ruchem umysłowym wieku, z teorjami religijnymi i filozoficznymi, kursującymi w owym czasie. Prawie perjo-

dycznie co rok na lato pojawiały się w jego ustroniu ptaki wędrowne, studenci uniwersyteccy z Petersburga i Moskwy, Dorpatu i Kijowa. Ściany się trzęsły od namiętnych dysput, w których brały udział najskrajniejsze odcienia myśli w najjaskrawszych okazach, od mistyków i obskurantów do wściekłych materjalistów. Kondratowicz słuchał uważnie, uczył się, ale będąc z temperamentu największym w świecie tolerantem, nie mógł się pogodzić z namiętną stronnością i niewyrozumiałością dysputantów. W 1851 roku wnet po wielkiej burzy europejskiej, której odległe echo załatywało i na Litwę, Kondratowicz pisał do Kraszewskiego (str. 45), „Głowa mię boli od krzyków postępowych, myśl się rozbija, nie mogę się jeszcze skupić. Pierwsze w tym roku dokonane odwiedziny Wilna odmalowane w czarnych kolorach (str. 42, 43): „Nie pojmowałem jak opłakany rozbrat wyobrażeń u nas panuje. *Obstupui*. Jedni z krzyżem w rękę do piekła odsyłają wszelki racjonalizm, szperania wiedzy nazywają czynami szatańskiej pychy. Drudzy z wyrazami postępu i braterstwa plwają na wiarę, tradycję, na wszystko co drogie i święte... Chrystus na wszystkich ustach, ale Chrystusowej miłości ku ludziom

jak Bóg żywy nie spostrzegłem. Ludzie zkaładną znakomici, wzajemnie się obmawiają i czernią. Dzięki mojej milczącej figurze, spokojnie wysłuchiwałem wszystkiego i z jezuckim uśmiechem zdawałem się wszystkiemu potakiwać, ale wróciwszy do siebie wieczorem, łzami się zalewałem. Miałem zamiar osiąść w Wilnie, dziś spostrzegam, że możebym umysłowo coś na tem skorzystał, ale serce na prochy zeszło. Ze mnie żaden djalektyk...“ Konieczność jednak kazała mu przenieść się na mieszkanie do Wilna, osiąść pomiędzy krytykantami i dysputatorami, wśród ujadających się stronnictw, w atmosferze przesyconej plotkami (str. 62, 67). Tu na samej arenie walki przeróżnych potykających się pojęć, Kondratowicz zniechęcony i złamany chorobą, nie mógł się opędzić wątpieniom, zakradającym się mimo woli do duszy: „Przyszedłem, pisał on w 1859 r. do Chęcińskiego (Kraszewski 173), do zupełnej równowagi serca i rozumu, to znaczy, nie mam dziś ani rozumu ani serca...“ Ale w tymże liście wyznaje, że nie może się oswoić ze stanem *tej wyrozumowanej niewiary*, który znaczył dla niego tyleż co odrętwienie i pozbawienie wszelkiego bodźca do śpiewu. W obliczu śmierci powraca wiara

i owiany nią znowu poeta pisze w Borejko-wszczyźnie 1861 roku jeden z utworów swoich z okresu choroby i konania: *Cupio dissolvi*, wiersz w którym głąb duszy odsłonięta i staje Syrokomla takim, jakim był przez cały czas życia: idealistą, deistą, bezwyznaniowym, ale arcyreligijnym w duchu chrześcijaństwa człowiekiem. Kawalek ten przypomina po części pewien przedśmiertny wiersz Edmunda Wasilewskiego: „Co mi tam? Wszystko mi jedno, czy dziś czy jutro...” a jeszcze większe i to rażące ma podobieństwo do ostatniej poezji Rylejewa pisanej w więzieniu 1825 roku, ale całkiem nieznaną aż do 1872 roku, kiedy ją poraz pierwszy ogłoszono drukiem (Diewiatnadcatyj wiek, wyd. Barteniewa, Moskwa, I, 327), podobieństwo wynikające z jednakiej wiary co do treści, z analogicznej sytuacji, a więc i z podobnego nastrojenia lir obu. Wieszczyk rosyjski ma wielką wyższość nad litewskim w tym ustępie, łos jego tragiczniejszy, jęk jego duszy wstrząsa czytelnika elektrycznie jako ostatnia spowiedź i modlitwa. Podajemy go w przekładzie:

Jak na obczyźnie życie zbrzydło!
Kiedyż się z ciała tego zrzucę?

Kto da mi gołębicę skrzydło?
 Polecę, spocznę, nie powrócę.
 Świat cały cuchnie jak mogiła,
 Dusza się z ciała rwie, kołacze.
 Boże! Tyś przystań ma i siła,
 Uważ, jak cierpię ja i płaczę,
 Przychył się k'memu modleniu,
 Podobaj w mem upokorzeniu.
 Daj przyjaciołom nym zbawienie,
 A mnie daj grzechów odpuszczenie,
 Od mego ciała rozwiąż ducha.

Kondratowicz nie modli się i raczej filozofuje:

Na co mi, Panie, ta sukunia z ciała,
 Która swobodną duszę skowała?

Na co, będąc duchem, mam chodzić w szacie
 zwierzęcej? Czyż mowa wytłómaczy choć
 cień myśli? Każdy z mych zmysłów ułomny
 i kłamliwy w swojej osnowie.

W uchu i oku, w smaku i woni
 Tylko się samo złudzenie chroni,
 Tylko przeszkoda duszy człowieczej,
 By doskonalej pojęła rzeczy.
 W ziemskich warunkach ciała i kości,
 Spada korona niezależności,
 Głód i pragnienie, zimno i spieka
 Dają poczucie nędzy człowieka,

Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,
 Próżność piersiową klatkę wydyma,
 Nienawiść ręce uzbraja w noże,
 Miłość zbydlęca co było boże, i t. d.

Ztąd u Kondratowicza jak i u Rylejewa gorące pragnienie rozwiązania dwóch niby połówek składowych człowieka, rozdarcia zasłon, lotu w tajemniczy pozaświat, gdzie gore niewysłowiony i niedostępny ziemskiemu oku Bóg teologiczny, oczyszczony jednak tak dla Rylejewa, jak i dla Kondratowicza, od wszelkich różniczek wyznaniowych, bo w tym względzie obaj wieszczowie byli skąpani w ideach tolerancji, najpiękniejszym nabytku XVIII wieku.

Przytoczone powyżej ustępy wystarczą na wytłómaczenie, jaką ogromną gra rolę w poezjach Kondratowicza pierwiastek religijny; wypada nam dokładniej określić właściwość i wydatniejsze cechy tej religijności. Najprzód więc uderza w oczy ujemna cecha tej religijności: zupełny brak wszelkiego mistycyzmu. Umysł to był niesłychanie trzeźwy, głowa sensowna, serce mocno czujące, ale tylko rzeczy jasno rozumiane; natura tak nieusposobiona do wizji ekstatycznych, tak niepochojna do bezpośredniego obcowania ze



światem nadzmysłowym, do upatrywania w wypadkach życia samych tajemniczych symbolów i wnikania w zawinięte w tych symbolach objawienie: że nie znać w niej najmniejszego śladu polskiego mesjanizmu, chociaż ten mesjanizm był górującym kierunkiem w chwili właśnie, gdy się Kondratowicz najmocniej kształcił i rozwijał. Mesjanizm ten, na którym zwichnęły skrzydła daleko potężniejsze geniusze, nie wywarł najmniejszego wpływu na Kondratowicza, który nigdy przez całe życie nie stawiał sobie innych zadań, oprócz czysto artystycznych. Jako artysta, Kondratowicz brał cudowność, ale całkiem gotową, to jest tylko taką, jaką znalazł w Piśmie Świętem, albo wyczytał w kronice, albo zasłyszał z opowiadania. Takiego rodzaju jest pierwszy dziecięcy prawie utwór, którym zbiór poezji jego się zaczyna: S. Sadoch (I, 1, z 1845), także Widzenie Pustelnika (1858 t. IV, 53); przydłuższa powieść Marcin Studziński (IV, 81, 139 z roku 1859) i mnóstwo innych. Kondratowicz nie zawsze pamiętał na to, co sam zapowiedział w Studzińskim (138) że:

Ojczyzna cudu, kruchciana wiara,
Dzisiaj z chrześcijańskich serc uleciała.

Czasami łamał dane przyrzeczenie :

Czy cud być może, czy też nie może?...
Ja w to nie wchodzę, lecz powieść piszę,
Z czasów gdy jeszcze w cuda wierzono.

Czasami próbował tworzyć cudowność i zmyślać rzeczy nadziemskie; wszystkie takie próby kończyły się na zupełnem niepowodzeniu, były to po prostu lichoty. Do rzędu takich słabych utworów należy wiersz niedrukowany Na śmierć Mickiewicza.

(Ponad Bosforem kędyś daleko
Obcy mężowie stoją boleśni.
Oto zapadło grobowe wieko
Nad bohaterem słowiańskiej pieśni... etc),

w którym autor siląc się widocznie i zmuszając do wyższego lotu, by sprostać podniosłemu przedmiotowi, każe duszy Adama wstępować na Olimp chrześcijański, obcować z Chrystusem i Najświętszą Panną, poczem promyki tej jaśniejącej duszy posyłają się z najwyższego rozkazu do wszystkich tych miejsc i okolic, które Adam ukochał za życia i unieśmiertelnął. Chłodna i wymuszona ta próba świadczy o rozminięciu się środków z zamiarami; środki były zbyt małe i starczyły nie na postaciowanie w oryginalny

sposób wielkich pojęć religijnych, lecz tylko na oddanie uczuć religijnych i wrażeń, jakie wywiera na duszy prostej a wierzącej sam obrządek kościelny i to w najskromniejszym i najuboższem otoczeniu, w lichym drewnianym kościółku wiejskim, gdzie na klęczkach ze skruchą czerń spożywa jedyny, dostę ny sobie chleb życia. Co u Mickiewicza wylało się w poezji raz tylko, i to w niewydanym za życia autora warjancie w IV części Dziadów, i co on schował jako niepokalanie święte, ale przeżyte wspomnienie lat dziecinnych:

(Pamiętasz kiedy miałeś dziewięć, dziesięć
latek,

I po raz pierwszy w uniesieniu ducha,

Nabożnie kląkłeś u kratek,

A wtem się na ołtarzu rozdarły obstonki,

Błysnął kielich, dzwonią dzwonki:

Wówczas mi się zdało...

Że dusza moja ze mną się rozstanie),—

to u Kondratowicza było głównym tematem, malowanym przezeń setki razy bez powtarzania się, coraz to inaczej. Ksiądz czyta w mszale, organista fałszuje na klawiszach, żaki odpowiadają myląc się w łacinie, okopcone ściany, knoty grube na żółtych świe-

cach, łańchmany miasto chorągwi, w czarnych ramach święci i z krzyża zwisa okrwawiony Chrystus, który z rąk księdza schodzi w hostji na spragnione usta (Wielki Czwartek, II, 278, Szkolne czasy III, 336). Biorąc czynny udział w nabożeństwie, Kondratowicz sam bierze na się funkcję kościelnego organisty i nie uważa za niegodne siebie „grać wiele, Panu Bogu w kościele“ a ludziom na pożytek na ochryłym instrumencie, tłumaczyć hymny mszalne (VI, 293), komponować nawet nabożne legendy do kalendarza (VII. 65), rozmyślania na dni doroczne (VII, 68), świętami poznaczone, albo nawet modlitewki do świętych na obrazki, sprzedawane na odpustach (7, 13, 21, 117, 122, 161). A jednak i w tych okruchach, które stoją prawie na pograniczu literatury pięknej, jest jedna cecha nie dająca im utonąć w tłumie innych tegoż przeznaczenia kantyczkowych wyrobów, podnosząca je niezmiernie wysoko ponad rzemiosło: a cechą tą natchnienie wprawdzie nie religijne, ale czysto artystyczne; ogień, który Kondratowicz przynosił z sobą do kościoła, a nie rozniecał u ołtarzowych świeczek. (Do Zieńkiewicza, VII, 192). Był on poetą religijnym wprawdzie, ale nigdy ortodoksalnym, obchodziło go jak masy wierzą,

ale nie brał nigdy dosłownie i był obojętnym na to, w co wierzą, i co bywa często wątpliwe i niedorzeczne, a nigdy nie da się ściśle obronić i dowieść. Przy swej prawie dziecięcej pobożności serca, strzegł nasz poeta wszystkich prerogatyw wolno myślącego człowieka, i w chwilach pustej wesołości pozwalał sobie szczególnie w poufalitych wylaniach się z przyjaciółmi, najdowcipniejszych żartów z rzeczy kościelnych, z kardynałów co się do Paryża zjadą, „maścić wybrańca ludu (Napoleona III) święconą pomadą“ (wiersz do Rumbowicza VI, 275), z księdza prałata, którego łeb uczenie się najeża,

„Gdy dogmatycznie nam rozprawia
O nieomylniej władzy papieża“ (VII, 182).

Poeta obcuje arcy poufale ze świętą Zofją (VII, 280), Janem Baptistą (VI, 286), Św. Eustachym z racji imiennin Tyszkiewicza (VI, 306):

Wszak dziś dyżurnym jest przy Panu Bogu
Święty Eustachy.

Życzliwy dokład za swoim klientem,
Chętnie zaniesie w empiryjskie gmachy,
I zaforsuje swoim wpływem świętym,
Święty Eustachy.

Na pięknej drodze twojego zawodu,
 Posieje helmy i pancerne blachy,
 I stągwie pełne odwiecznego miodu
 Święty Eustachy.

Ta pełna swoboda sądu o rzeczach duchownych, nie obrażająca religii, bo nie wybiegająca za obręb tego, z czego według przekonania poety śmiać się wolno, (Do Krupowicza VII, 60), i nie wstrząsająca wiary w Boga, czyni religijne utwory Syrokomli na wskroś świeckimi. Nic w nich ckliwego, cukrowego, nic coby przypominało zakrystję i kościelne szaty, żadnego bawienia się w gwoździe męki i obwijania cierniowej korony w folgę i kolorowe papierki, bo wszędzie czuć podniosły idealizm strzelający w górę w nieprzebranych lirycznych zwrotach do Boga, bez których nie obejdzie się żaden większy jego poemat, od epickich począwszy aż do prześlicznej kantaty Franciszek z Assyżu (1857, Wilno, V, 81 - 86). Oprócz rzeczy religijnych jest jeszcze rodzaj utworów, które nam dostarczą ostatniego rysu do charakterystyki religijnego żywiołu w poezji Kondratowicza, chociaż często nie traktują ani o Bogu, ani o rzeczach kościelnych: są to pod nazwą gawęd, dramatyzowane morały gminne,

stanowiące praktyczną mądrość ludu i bezpośrednio z religijnego płynąca źródła wiara w natychmiastowość już tu w świecie doczesnym sprawiedliwości boskiej, w przekłete skarby, w djable pieniądze, i w to, że czem kto grzeszy, tem i pokarany będzie. Że Kondratowicz nie brał tych prawd literalnie, że stał w pojmowaniu ich wyżej od gminu i pojmował głębsze ich podstawy, dowodzi ładna przypowieść: *Kradzione* (1849, Załącz. I, 53), w której ojciec chcąc dać synowi proponującemu kradzież nauczkę, zmyśla kradzież wołu i jedząc go pospołu z synem, tyje we dwoje, kiedy tymczasem synalek dręczony obawą zbrodniarza wysycha jak szczapa:

„Ja zakupiłem wołu — toć mi szło na
zdrowie,
Ty kradnąc, schudłeś na charta.“

Właściwie więc mięso to samo jednemu idzie na zdrowie, drugiemu na złe, wedle różnicy pojmowania istoty czynu nabycia, wedle sumienia winowajcy; sumienie to jest w ostatecznym rezultacie szafarzem nagród, sędzią a nawet i oprawcą. Gnany przez te straszne Eumenidy pasiecznik Chodyka; oddaje się pod miecz katowski na zamku słuckim

w jednej z najpiękniejszych gawęd Kondratowicza (1847, I, 31 — 52), a pan Korsak odbywa najstraszniejszą wedle jego szlacheckich pojęć pokutę, wysługuje się jako parobek swemu własnemu chłopu, którego syna zamordował (1853, I, 400 — 331). Lecz powiązanie tych pojęć lud prosty pojmuje zmysłowiej: palec boży dosięga nieskruszonego zbrodniarza przez zewnętrzne, niby losowe przypadki; hetmanowi polnemu, który dopuścił swawolę żołnierską nad chłopami, Tatarzy palą zamek i uprowadzają w jasyr żonę i dzieci (1851, t. I, 193); zaklęte przez Skargę, spadają stare wrota na karocę, w której jechał zdrajca ojczyzny, syn poczciwego Szeligi, i w ten sposób „dopełniają swojej powinności“ (1856, III, 1 — 71). Już to użycie środków mechaniki (*Deus ex machina*) do rozwiązania zadań moralności, świadczy o pewnej dziecięcości w pomysłach, o pewnym braku głębszej myśli i gustu w doborze osnowy poematu. Lecz Kondratowicz nie przestaje na tem, i raz ująwszy morał gminny, wysysa go aż do ostatnich mętów, do zabobonu, do przesądnej wiary w to, że czyn nieczny kazi i zapowietrza rzeczy bezduszne, tak, że kto w najniewinniejszy sposób ich się dotknie, zostaje zarażony.

Tak Zaścianek Podkowa zmienił się w uroczysko, Pomstę, skoro hrabia zagrabił ziemię zaściankowym czynszownikom.

Biada gdy bydło trawy tu uskubie,
 Biada człekowi, co tu wody żłopnie!
 Gdy kto nieświadom zbłądzi w to bezdroże,
 Musi przyplącić lub życiem lub zdrowiem,
 (1850, t. I, 143 — 167).

Kondratowicz tłumaczy w przedmowie, że treść Podkowy wziął z zasłyszanego miejscowego podania (I, 143); ale owo pojęcie o rzeczy przekłętej musiało tkwić bardzo głęboko w myślach poety, bo powrócił do niego, przerobił je i odlał powtórnie w jednym z najserdeczniejszych swoich utworów: *Kęsie chleba* (1854, Wilno, II, 115 — 152), w poemacie, który Kraszewski uważa za arcydzieło (94),

Gdy zajdziesz na Litwie do najpierwszej wioski, powiada autor:

Tam ci naocznie pokaże lud boży
 Chleb, co się sporzy, i co się nie sporzy.
 W jednym być muszą kąkolu owoce,
 Lub krzywda ludzka, albo łyzy sieroce;
 Takiego chleba, jeżeliś go świadom,
 Nie kupuj w mieście, ani radź sąsiadom,
 Nie jedz go w ucztę ani w dni powszednie.

To chleb przeklęty, czuć od niego piekłem :
W tym chlebie duchy gnieżdżą się nieczyste...
Garść tego zboża ciśnij na wicinę,
Pewno się cała wicina zatopi...

Oddamy słuszość w innem miejscu wzorzystym haftom na tę kanwę rzuconym; wszakże nie podobna nie przyznać, że sama kanwa gruba. Kondratowicz wziął ją gotową od ludu, a w ludzie tym ona stanowi praktyczną stronę jego wiary religijnej.

Gdyby Kondratowicz poprzestał na samej tylko poezji religijnej, na opiewaniu obrzędów kościelnych, ani imię jego nie nabrałoby zapewne wielkiego rozgłosu, ani wpływ nie byłby bardzo znaczny. W wieku naszym, którego nikt religijnym nie nazwie, religja należy do potęg zachowawczych, miejsce zajmowane przez nią w życiu jak jednostki, tak i społeczeństwa, maleje raczej niżeli się powiększa, i udział jej coraz słabszy w postępowem kształceniu się społeczeństwa. Literatura czasów Syrokomli miała rozmaite zadania, w liczbie których najpierwsze może było krzątanie się około utworzenia wielkiej narodowej epopei. W tę stronę poszły główne usiłowania Syrokomli: laur, o którym zamarzył, był laur peoty history-

cznego Litwy i Polski; w tym rodzaju pieśniarstwa upatrywał on główne swoje zasługi. Dopiero późniejsze czasy okazały, że omylili się i Kondratowicz i jego spólcześni. Ani apoteoza przeszłości nie mogła wydać tych, jakich się spodziewano owoców, ani utwory historyczne Kondratowicza mogły się liczyć do lepszych i udatniejszych; upodobanie w nich prawie wyłącznie przez czas niejakiś było raczej omyłką z jego strony w wyborze powołania. By ocenić przyczyny tych niepowodzeń, musimy wrócić do przerwanego opowiadania o jego młodości i dziejach rozwijania się umysłowego.

III.

W każdym wykształconem społeczeństwie, które żyło historycznie, jest niemało materiału epickiego, ale w stanie ukrytym. Wydzielanie się jego, jak wydzielanie się osadu atmosferycznego w kształcie deszczu lub śniegu, odbywa się przy pewnych warunkach i bywa szczególnie obfite po wielkich a gwałtownych katastrofach, po zmianach, a osobliwie po rozbiciach politycznych, gdy się raptem mieszają dwie nieprzyjazne cywilizacje niby dwa prądy powietrzne mające różne temperatury, i zmieni się raptownie całe społeczne otoczenie człowieka... Po metamorfozie wszystkie przepadłe i pochowane właściwości dawnego bytu, tkwią jeszcze w pamięci, idą na pokarm pożerającej je chciwie poezji, która zajmuje się głównie rozpamiętywaniem najmniejszych dziejowych drobnośtek, jak się ludzie spijali i sejmikowali, jak

się czubili, procesowali i nawet odziewali przed laty kilkudziesięciu albo i dawniej. Ludzie spółcześni młodości Syrokomli znajdowali się właśnie w takim opłakanym stanie, po rozbiciu się Rzeczypospolitej, jak ryby wyrzucone z morza na brzeg, z tą tylko różnicą, że zwierzę ginie, skoro je pograżyć w niewłaściwym mu fizycznym żywiole, a ludzie żyją i płodzą się w niezwycajnym otoczeniu społecznym, póki się nie zastosują w trzecim czy czwartym pokoleniu do nowych zewnętrznych warunków życia. Pomiedzy chwilą rozbicia się a chwilą ostatecznego oswojenia się z otoczeniem, łączy okres przejściowy mniej lub więcej długi, co zależy w bardzo znacznym stopniu od tego, jak się ma do nich samo otoczenie, czy wymaga od nich, aby zapomnieli naprzód przeszłości, nim się zastosują do nowego stanu rzeczy, czy ogranicza się ułatwianiem im zastosowania się, poczem jest nadzieja, że o dawnych czasach zapomną. Jest śliczny ustęp u Syrokomli (III, 301, Sejm Lubelski, 1857), który wybornie maluje wielkie trudności wszelkiego zjednoczenia:

„Každy, czy naród, czy plemię inszy oby-
czaj ma z ojców,

Insze prawa dziejowe, serca odmienne pu-
kanie.

Wiele, ach wiele potrzeba w zlanu dwóch
plemion osoonych,

By się zrównał obyczaj, by się takt serca
zespolił!

Wspólnie przebyte kamienie wirem połączą
dwie rzeki,

Wspólna dola, niedola łączy dwa różne
plemiona.

Okres przejściowy ma swe cechy odrębne. Ludzie, co go nie doświadczyli, żyją bardziej w terażniejszości i najbliższej przyszłości, mają cele praktyczne i potrzebują pewnego wysilenia myśli, by dostrzedz jak dalece w nich siedzi człowiek dawny, mało co od terażniejszego i to raczej powierzchownie, niż w istocie odmienny. Przeciwnie, ponieważ dla człowieka okresu przejściowego otoczenie wydaje się czemś obcem, nie traci on ani na jedną chwilę ze świadomości swojego podobieństwa do dawnego człowieka, z tą tylko różnicą, że brak mu właściwego żywiołu, brak pola do działania i zastosowania swoich zdolności. Nowe uzdolnienia i przyzwyczajenia nabywają się z czasem i zastępują miejsce dawniejszych; lecz nim nastąpi

ta odmiana, nawyknięcia nowe zaledwo są widzialne, a przejście od dawnego ku nowemu wydaje się stopniowym upływem siły moralnej, przerodzeniem się i karleniem, ztąd żal, przywiązywanie się do szczątków historycznych. Pieśń jak powój oplata stare gruzy, a wyobraźnia zajęta odszukiwaniem ukrytych skarbów w ruderach i zgliszczach. To usposobienie ogólne, które wydało Pana Tadeusza, rapsody i gawędy Pola, opowiadania i powieści H. Rzewuskiego, romanse Kaczkowskiego i nieprzebraną ilość innych pomniejszych utworów, wiązało się u źródła z kierunkiem literatur zachodnich europejskich, z romantyzmem, zwrotem ku średnim wiekom, walterskotyzmem, i wyrażało się w nieskończenie różnych odcieniach, poczynawszy od walki tytanów w losem, na którą się ważyły duchy wielkie i ogniste, Bajronowi pokrewne, i od mistycznego rozeskrzydlenia w Bogu, przy oczekiwaniu cudu, aż do usiłowań poetycznych, mających wyłącznie tylko artystyczne cele, bez żadnych dalszych następstw praktycznych. Okoliczności zewnętrzne przeciągały nad miarę to wstecz obrócone marzycielstwo, gromadziły niezliczone przeszkody nastaniu lepszemu stanowi rzeczy. Życie publiczne było słabe, zbiorowe działanie pra-

wie żadne, nawet na polu przemysłu; gospodarstwo było przeważnie tylko rolne, a do tego odbywane za pomocą pańszczyzny. Szlachcic obywatel przy tych warunkach i wzrastającej konkurencji, zmieniał się i przerabiał na biczowładnego plantatora. W banku zbiorowego działania, zostawała działalność jednostek, i ta stawała na pierwszym planie. Jako najrozleglej wpływową zdawała się praca literacka, jedyna jaka się nastęrczała Kondratowiczowi, i miał ją zapewne na myśli, kiedy kończąc *Zaścianek Podkową* (1850), w te słowa każe przemawiać podróżnemu do szlachcica żebraka:

„Daj pokój mój dziadu!

Wy będziecie na świecie potrzebni na nowo,
 Nie na sejmik z pałaszem, lecz z piórem,
 lecz z głową,

Świat — to szerokie pole, pełno na nim
 chleba,

Tylko uczyć się trzeba i pracować trzeba.“

(I, 166).

Literatura była dla Kondratowicza z jego gorącym sercem i dobrymi chęciami pracowania dla dobra ogółu, linią najmniejszego oporu, po której poszedł, Unosiła go na

swoich barkach fala ogólnego usposobienia towarzystwa, którego cechą było rozmiłowanie się w przeszłości wyobrażanej idealnie. W duchu swojej epoki Kondratowicz upatrywał w ludziach dawnych, kilko-sążniowych olbrzymów, którzy gdyby ożyli, patrzaliby na nas z ubolewaniem i pogardą (VI, 138) i wyglądaliby butnie jak wśród wioski nędzarzów rycerska mogiła (III, 136). Wielu nawrotami próbował wyrozumować to rozmiłowanie się w dawnych czasach, lecz raczej podawane były zawsze niesłychanie słabe i dziecinne.

„Každy kopiec na gruncie, každy krzyż
 przy drodze,
 Stos łomów na gościńcu, kaplica, gospoda,
 Wszystko to jest pamiątką, i wszystko ci
 poda
 Jakąś ciekawą powieść o życiu Litwina.“

Kondratowicz zapytuje naiwnie: Czemuż, ach czemuż nie było u nas zaporozkich lirników, szkockich bardów, albo greckich rapsodów?

Lirnik miałby tu piękne i bogate żniwo,
 Opiewać nasze krzyże, kurhany i groby,
 Od czasów Mendogowych do dzisiejszej doby,

o umarłych, a umarli ci czuli i cierpieli; wszystko zaś co czuli ludzie może być wyśpiewane, więc każdy czerepek, kamyczek lub trzaska dadzą się na brylant przekryształić; a jeżeli się nie odbywa takowa przemiana, należy to przypisać brakowi chęci i talentu pieśniarzy, którzyby mogli, gdyby się ukazali, stworzyć epos równy greckiemu, albo Walter-scottowe ballady i poemata. A nawet idąc do gruntu rzeczy, i talent tu zbyt, byle była ochota. Połóżcie, powiada poeta pod mikroskop duszy:

„Co łaska i wola,
 Główkę motylą lub serce człowiecze,
 Łezkę co z oczu splakanych wycieczce,
 Lub kwiat urwany z litewskiego pola.
 A rozpowiedzcie sumiennie a święcie,
 Blask każdej barwy, każde serca drgnięcie,
 Każde ruszenie drobnego atomu,
 A pieśń już sama utworzy się snadnie.“
 Kęs chleba, II, 117).

Skoro pieśń da się wyciągnąć podług recepty, której tajemnicę uniósł z sobą czarodziej, i z trawki, i z oczka muchy, i ze wszystkiego, czem gra wielkie życie kosmiczne, wypadłoby, że zgliszczą i groby zajmują w twór-

czości miejsce podrzędne, i że nawet z kronik doczytywać się o tem co cierpieli ludzie zmarli nie warto, kiedy daleko łatwiej robić studia nad żywymi. Tak jednak nie jest według pojęć poety, bo co chwila przykłada on usta do trąby epickiej i woła wielkim głosem :

Gdzie ty święta przeszłości macierzystej
 ziemi,
 Z twojemi bohaterami, z bogami twojemi,
 Z pieśnią dzielnych lirników, synów twego
 łona ?

Przeminęłaś na świecie jakby snem prze-
 śniona.

Któż cię potrafi dzisiaj wyczytywać biegle
 Na staroświeckiej książce, albo starej cegle ?...
 Kto w literze zamknięte życie nam objaśni ?
 Kto wyssać świętą prawdę z podaniowych
 baśni ?

(Margier II, 6).

Tu oczywiście zadanie inne: przeszłość usadowiona jak sfinks tajemniczy na piedestale, i cel poety już nie wskrzeszać dzieje pojedynczych ludzi anegdotycznie, ale odkryć sens ogólny, ukryty w całym dziejów ogromie dający się wynaleźć przy wpatrywaniu

się w ten ogrom, badawczem, metodycznem, umiejętnem. Chwiejność w poglądach na cele poezji, i w predylekcjach Kondratowicza, dowodząc słabości w rezonowaniu, da się bardzo łatwo wytłómaczyć. Upodobanie i przywiązanie do przeszłości było częścią składową wielkiego i gorącego uczucia, które ogarniało Kondratowicza zewsząd, panowało w nim niepodzielnie, przenikało go aż do szpiku kości. Uczuciem tem bez granic była miłość rodzinnego kraju, jako niezbędnego żywiołu, bez którego nie można istnieć i oddychać. W miłości tej łączyło się wszystko od trawki i wiatru do pamiątek i obyczaju. A wieszże waści, mówi stary Derszniak do Hrehorego Sulimy w Noclegu Hetmańskim (III, 155), co jest ojczyzna ?...

Starzy ją zwali swem życiem, swem zdro
wiem,

Służąc jej wiernie w złym i dobrym losie,
Co jest ojczyzna? To twej chaty ściany,
To dach twój stary, słomą pokrywany,
To zagon żyta, co cię karmi w głodzie,
Z rzeczki twej woda, co cię rzeźwi w lecie,
To piękność dziewcząt, co ci serce bodzie,
To twoje niebo najpiękniejsze w świecie,
Smak twego jabłka, cień twojej jabłoni,

To dzwon kościelny, co ci na mszę dzwoni,
 To twoich sejmów trwałość i swoboda,
 To twego ojca osiwiła broda ..
 Oto ojczyzna — za jednym wyrazem —
 Wszędzie cząstkami i pospołu razem.

Jeżeli by wypadło rozkładać to skomplikowane uczucie, na dnie jego znalazłyby się wrażenia pierwotne natury fizycznej z niw nadniemeńskich:

„Tameczne łąki znam po aromacie,
 Wodę tameczną po smaku odgadnę,
 Inszego ptastwa śpiew mnie nie omami...
 Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
 I wiatr tameczny rozpoznam płucami“.
 (Kęs chleba, II, 130).

Autor sam nam tłumaczy logiczną genezę swoich wyobrażeń, kojarzenie się ich pierwotne, a trwałe:

„Chlebie! po twoim smaku i zapachu
 Czuję z nad Niemną polankę borową,
 Widzę kaplicę o słomianym dachu,
 Słyszę jej dzwonek, jak brzęczy nad głową“.
 (II 119).

Do wrażeń natury fizycznej przybyły niby nowe kolanko na łodydze, wrażenia wsi, od-pustu, karczmy, szkoły, chudoby chopskiej i miernoty szlacheckiej, nakoniec wystrzeliło i trzecie kolanko, górujące ponad wspomnie-niami i pól i wsi: bajki, klechdy, anegdoty, wspomnienia przywiązane do krzyża na dro-dze, do gruzów starej baszty; do domu lub kościołka i zrosłe w myśli z temi przedmio-tami. Ponieważ epokę cechował ogólny po-pęd do zbierania tych rzeczy pamiątkowych i do układania z nich narodowego eposu. Kondratowicz rzucił się z zapalem do tego narodowego dzieła. By mu podołać, oprócz wrodzonego talentu trzeba jeszcze nauki, a tej właśnie Syrokomla nie posiadał, bo był co się nazywa samouczek, a wykształcił się sam w najdziwniejszy i najoryginalniejszy sposób, jak się nikt dziś nie kształci i nie uczy.

IV.

Oddany po zamknięciu szkół klasztornych do szkoły powiatowej w Nowogródku, Ludwik Kondratowicz, piętnastoletni jeszcze podrostek, po ukończeniu klasy piątej a ostatniej w tym zakładzie, wzięty był przez ojca do domu i zaprzęgnięty do gospodarki, do której okazał się całkiem niezdolnym, bo go natura ciągnęła do książki jak wilka do lasu. Drobny radziwiłłowski dzierżawca, ojciec Kondratowicza, oddał go w jesieni 1842 r. do mieszczącego się w ruderach zamku nieświeżskiego głównego zarządu dóbr radziwiłłowskich. Na zamku stawili się: ojciec — zagonowy szlachcic starej daty, a za nim 19 letni nieśmiały i niezgrabny synalek, powtarzający niewolniczo każdy gest i każdy ukłon ojca. Zaprzężony do kancelaryjnej roboty rustykan oswoił się z biurem, a że był wesoły, bardzo zdolny, dowcipny, a sypał wier-

sze jak z rękawa, pokochali go koledzy, starsi zaś: Dobrowolski, Rychter, Kątkowski, dostrzegłszy niepospolitych zdolności, starali się do poważniejszych rzeczy zachęcić.— Rymy łatwo klejone nie wiele były warte, i trawestacje, parodie albo naśladowania Sonetów Krymskich w Sonetach Nieświeżskich także słabe (VI, 135 — 159). Niebawem nadeszła miłość, do której poeta był od lat chłopięcych bardzo pochopny. Anielskie oczy 16-letniej Pauliny Mitraszewskiej zatręły spokojuść mało co od niej starszego młodzieńca (VI, 135). Po niedługim namyśle pobrała się ta para; mąż nic nie miał, żona nic nie wniosła, a że potrzeba było pomyśleć o gniazdeczku i przyszłości, ojciec Kondratowicza ustąpił mu dzierżawę pod Mirem w nadniemeńskim Załuczu.— Małżeństwo nie ziściło marzeń poety; żona, dobra kobieta, ale prosta, prozaiczna, nie odpowiadała jego ideałom. Dzieci przybyło pięcioro. Zdawało się, że ożenieniem się i zagrzebaniem w głuchym zakątku Kondratowicz związał sobie przyszłość na zawsze; stało się przeciwnie, bo właśnie w tem ustroniu pracą nad sobą znakomicie się wyrobił w ciągu dziewięciolecia (1844 — 1853), bo mu na dobre posłużyła samotność „wielkich ludzi mistrzyni“

(Mick.) Wejdźmy do starego domu pogarbionego, o krzywych, zapadłych w ziemię ścianach i o dachu pokrytym dranicami zakwitłymi mchem (O moim starym domku VI, 177 -- 182, Załączce, 1847 r.), o dwóch izbach, z których w jednej mieściła się rodzina, a druga ceglanego koloru starczyła poecie za cały uniwersytet. Tam były: „stolik ze szpargałami — tron potęgi“, szafa, a w niej księgi („zguba moja — szczęście moje“). Tu wpatrując się w komin, albo w nici pajęczyny snuł Kondratowicz pasmo myśli „wątlých, słabých jak pajęczyna“. — Książki z których czerpał swój pokarm umysłowy, były stare, zarzucone i najmniej poczytne; klucz do nich posiadał nauczyciel się w szkołach gruntownie łaciny. W rzędzie tych zmarłych pierwsze zajmowali miejsce poeci polscy i polsko-łacińscy XVI i XVII wieku. Przez zmuśną pracę przekładania wielkich mistrzów złotej Zyguntowskiej epoki: Kochanowskiego, Klonowicza, Sarbiewskiego, Kondratowicz nabrał gustu, skąpał się w duchu europejskiego renesansu, zachwycił nieco z pięknej klasycznej starożytności i wyrobił potężnie język, którym władał po mistrzowsku, chociaż aż do końca nie mógł się pozbyć prowincjonalizmów a nawet rusycyzmów,

nadużywania prawie ciągle słowa *grzmotnąć*, zamiast uderzyć, częste używanie wyrazu *kocić się*, zamiast spływać *i woda się koci*, *kolnąć* zamiast ukłóc, (Margier II, 16) *nie-dozwolen* tamże 35, *ugniecie*, zamiast uciśnie 70, to je żal *obezsili*, to rozpacz załamie, 74; kędy huf *obezsilon*, świeżym się odnowi, 103). Oprócz poetów, Kondratowicz przekładał nawet suchych dziejopisarzy; drabując starych, przeglądał i nowych, wczytywał się w historję literatury Wiszniewskiego, podarowaną mu przy ożenieniu się, ceniąc ją jako skarb największy (Kraszewski 15); zbierał wszystkie wiadomości archeologiczne, z których wyrosły później „Wędrówki“ i zabierał się do pisania dziejów literatury polskiej. Przy warunkach jego pracy, ta historja literatury mogła być tylko kompilacją ozdobioną niewielu rysami, których dostarcza każde przestudjowanie na nowo znanych już i zarejestrowanych oryginałów. Oczywiście jest jednostronność takiego wykształcenia. W skutku całkowitej jego niemethodyczności odbywało się ono na opak, i szło nie od ogólnych, przejętych w dawnym czasie w nauce zasad i zarysów ku szczegółom, ale od najdrobniejszych szczegółów ky ogólnym zasadom, których się Kondratowicz chwycił na domysł i

one dorysowywał. W latach czwartego dziesiątka panującym w szkołach kierunkiem była niemiecka metafizyka przesadzona na nasz grunt przez Trentowskiego, Kremera, Libelta. Każdy z nas otrzymał do ust rozżuty, gotowy system historjozoficzny, zaczynający dzieje świata nie tak jak teraz, od prapraojców kamiennego wieku, ale wszakże zdaleka, od Indyi i Chin, i kończący szereg ewolucji o trzech tempach bezwzględnego ducha, na kulturze germańskiej — koronie wszechstworzenia. Nasze zachcianki miały na celu tylko dotoczyć do odebranych ewolucji jeszcze jedną, nową, w przyszłości dla narodów słowiańskich. Dziś łatwo śmiać się z bezwzględnego ducha, z fatalizmu stawania się, ze sztucznego ugrupowania faktów historycznych, z powiązania ich w trójki z tez, antytez i łączników: korzyść jednak tej historjozofji była niezmierna w swoim czasie, bo streszczała ona ogrom wiadomości uporządkowanych tak ściśle, że i jedność zasadnicza wszechdziejów była zupełnie jasna, i przebieg życia każdego narodu dał się wyśledzić od poczęcia jego aż do śmierci, jako rozwijanie się zbiorowego organizmu, będącego częścią większej całości. Historjozofja dawała możność odrazu orjentować się

w ogromie, przecinała dalekie perspektywy, stawiała drogokazy, a historycznemu poecie dawała gotowe tło do malowidła. Ponieważ duch narodu i wieku mógł być uważany jako czytelnikom z góry wiadomy, mógł więc poeta ograniczyć się niewielu rysami, i odrazu stawić działające osoby. Tej szkoły Kondratowicz nie przechodził, pracowite zbieranie po ziarnku drobnostek historycznych z najbliższego otoczenia wykwalifikowałoby go co najwyżej na powiatowego starożytnika, bo dalej nie sięga wartość jego Wędrowek, albo na kompilatora, bo takie znaczenie mają jego Dzieje literatury. — Gdy się brał do skreślenia poematu historycznego, Kondratowicz uważał za konieczne zagruntować tło, opisać dokładnie a szczegółowo epokę; a że wiadomości historyczne posiadał tylko średnie, to jest wiedział tylko to, co wyczytał w opracowaniach późniejszych, lub co przynajmniej już posłużyło za materiał do opracowań; zatem były wiadome: więc i te opisowe obrazy epok, zajmujące nieraz całe stronice, są po większej części tylko retoryką, to jest wystylizowaniem prawd bardzo wiadomych, parafrazą ich obrazową i dowcipną, ale całkiem zbyteczną. Przytaczamy kilkanaście przykładów na poparcie naszego

założenia. W Janku Cmentarniku, poemacie z roku 1856, zatem z najlepszej epoki, Kondratowiczowi wypadło dać charakterystykę blizkich dobrze wiadomych Napoleonowskich czasów. Zapytujemy, czyż nie jest najczystsza retoryką cały ustęp X, jako dyktator Gallów zagrał dziejowy poemat, jako:

„Z mnogich zastępów tworzył wyrazy,
Z hufców układał ogniste frazy,
Takt jego piersi bije armata,
Za kartę użył połowy świata,
A każda fraza i każda głoska
Wrzały tak silnie jak myśl mistrzowska,
Kipiały ogniem piersi człowieczej... (III, 87)
To była tylko zwyczajna droga,
Którędy tytan szedł na półboga“.

Gdyby nie wstawiony frazes: *Dyktator Gallów* i kilka terminów geograficznych, jako to:

Krwawym zygzakiem przekreślił Romę (??).
Przekroczył Alpów urwiska strome,
Trącił o stare Piramid głązy,
Ziemie germańską przeszedł dwa razy (?)
Przerznął skalisty grzbiet Pirenei, i t. d.—

można byłoby gubić się w domysłach, jakiego ze zdobywców nowoczesnych (bo działa-

jących za pomocą artylerji) ma wyobrażać to opowiadanie, kończące się morałem w kaznodziejskim guście:

„Wielki poemat krwi, ognia, czynu
Myślą nie wyszedł za obręb gminu,“

bo podyktowała go pycha, a pycha nie napisze boskich rzeczy:

„Czy biorąc słowa kolory bledsze,
Czyli kartaczem ryjąc powietrze“.

Można złorzeczyć geniuszowi, że sprawy jego były niedobre i nieboskie, ale pomawiać same pomysły genialne o gminność, znaczą stawać w sprzeczności z przyznanymi uprzednio tejże głowie cechami tytaniczności i genialności.

Cofnijmy się nieco dalej w przeszłość, w najlepiej znany i upodobany przez autora wiek XVI. W Stelli Fornarinie, długi ustęp kreślący genezę renesansu (IV, 4 — 9) jest splotem pospolitości, albo pojęć mylnych, bynajmniej nie odpowiadających temu zakochaniu się w nagim ciele ludzkim, temu spojrzaniu na naturę okiem dawnego poga-
nina, temu opanowaniu religii przez sztukę,

przeciwko któremu, jako przeciwko profanacji, założyła swój gorący i surowy protest Reformacja. U Kondratowicza, po pełnym rutyny obrazie dwóch panowań: rzymskich cesarzów i rybaka Pańskiej łodzi, wypada, że cud i klątwa. pióro, filozofa i sztuka, były opatrzenie udzielanymi narzędziami panowania kościoła :

„Światło zabłysło nad Piotrową skałą,
I przyszli na świat sztuki geniusze“.

Przy tak fałszywym nadaniu cechy kościelnej całej sztuce renesansu, sztuce tak bardzo mało religijnej, nawet w Rafaelu, i niereligijnie wyobrażającej nawet kościelne rzeczy, wszyscy wielcy mistrzowie robią się niesłychanie do siebie podobnymi. Leonardo i Rafael, Luini i Buonorotti, to samo co Fra Angelico da Fiesole, stają się wcieleniami Ducha Bożego w obrębach i na chwałę kościoła („Przemówił Duch Boży, I przyszedł na świat Rafael z Urbino“); ulatnia się natomiast duch renesansu, a pozostają tylko frazesa retoryczne bez wewnętrznej treści. Jeżeli obraz renesansu chybiony, to ocena Reformacji jest niezmiernie powierzchowną (Kanonik przemyski 1851 t. I. 211, 238);

Reformacja tłómaczy się po prostu swawolą szlachecką. (Szlachta pobratawszy się z królem, już z Bogiem się brata) i zapalczywością mistrzów z Genewy i Witenbergi, wołających, że posiadli całą mądrość bożą, zaś Luter i wielcy odszczepieńcy zbyci lekko i potępieni łatwym kaznodziejskim sposobem:

Świątą cechę miłości zatarli troskliwie,
 Żółcią, nie zaś balsamem ich serce oddycha,
 Na ustach złorzeczenie, a na czołach pycha“.

Tego rodzaju komunałami przepełnione są wszystkie utwory Kondratowicza, pisane na serjo i z pretensjami do historyczności. Są pomiędzy nimi i takie, którym można zrobić ten tylko zarzut, że są najzupełniej zbyteczne, bo na kilku kartach autor podaje samę tylko wierszowaną lekcję historii, pracowicie nanizany sznurek wypadków ściśle dziejowych, ale najmniejszego związku z fabułą powieści nie mających, a z których tyle się można dowiedzieć, ile z pierwszego lepszego podręcznika (Wieś Lubraniec, I 202; strofa XII o Krzywoustym jest jakby żywcem wzięta ze śpiewów historycznych Niemcewicza). Polska Piastowska w Ostatnim z Toporczyków (III, 125), Zaporozie w epilogu

Noclegu Hetmańskiego (III. 180) rażą pospolitością; Skarga, czasy Jana Kazimierza w Starych Wrotach (III, 5-7, 59), spółubieganie się Leszczyńskiego z Augustem III w Staroście Kopanickim (III, 47), opisane rozwlekle, nudnie, bez smaku. Całe tło Margiera wygląda szaro dla braku świeżości w pomysłach, mimo staranne opracowanie stylu. Ze Jaśko z Melsztyna poseł Kazimierza W. odprawiony został z niczem z Malbarga, jest to fakt znaczący w Długoszu i w dziejach dyplomacji polskiej; ale przy najlepszych chęciach, niepodobna zaciekawić czytelnika klejąc całą pieśń bohaterskiego poematu z samego ceremoniału tej odprawy, jak niepodobna podzielić na wierszowane strofy traktatu wiedeńskiego, albo konferencji w Leoben lub Paryżu. Weźmy z tej pieśni dwaście wierszy potocznych a gładkich:

Dzisiaj nad grobem Pańskim już nie pełniąc warty,

Usiadł mnich na książęcej stolicy rozparty:
 Wyprobowałszy miecza na świętej posłudze,
 Zatopił chciwe szpony w posiadłości cudze;
 A nad sąsiednią Litwą, Prusakiem i Lachem
 Wywiera swoje wpływy krzyżem i postrachem.

Nienasycona żądza, nieugięta pycha
 Zagnieżdżyły się w sercu bogatego mnicha ;
 Komu ślub przysiężony pokornym być każe,
 Chce potęgą prześcignąć króle i mocarze ;
 Potworną jego piersią niespokojnie miota
 Tylko pragnienie władzy, rozkoszy i złota...

Forma zewnętrzna udatna, lecz jeżeli rozłożymy obraz na jego pojedyncze rysy, nie okaże się ani jeden, któryby nie był wytartym komunałem, tak, że nad tę tkanę pożyczanych nici, piękniejszy Szajnocha, daleko lepszy nawet Długosz, a cóż dopiero Wallenrod, który dostarczył wszystkich farb swoich Kondratowiczowi na Margiera! Opowiadania i opisy są zwykle ckliwe u Kondratowicza, a jeszcze ckliwsze towarzyszące im morały. Kondratowicz uważa za obowiązek nie tylko kreślić obraz wieku, ale jeszcze tłumaczyć dzieje; i nie tylko tłumaczyć, ale rozłupawszy podać czytelnikom sens ich moralny w rodzaju przestrogi dla potomków. Nic wznioślejszego zdaje się na pierwszy rzut oka nad to zadanie, lecz każdy przyzna, że aby mu podołać, trzeba przede wszystkim patrzeć na dzieje z bardzo wysoka, mieć ogrom wiedzy i znać prawa konieczne wzrostu i upadku społeczeństw, być biegłym w rozpoznawaniu

tego, co w języku teraźniejszego pozytywizmu nazywa się warunkami statycznymi bytu, od których to warunków zależy bezwzględnie i funkcjonowanie wszystkich członków organizmu, i samego organizmu trwałość i wiekowość. Patrzący z wysoka, widzi same tylko masy, nie zaś jednostki; wpływ tych jednostek z ich dobrymi albo złymi chęciami staje się drobnutki, malutki, nic prawie nieznaczący; przez zbiorowe wysilenia przegląda działanie innych przyczyn stałych, wciąż jednak działających, w układzie organizmu ukrytych i głębszych, niż wolna wola jednostek, albo całych stanów, plemion i narodów. Po uwydatnieniu warunków, od których zło zawisło, kończy się rola nauki i posługującej się nauką sztuki; resztę pieśni dośpiewa w duszy swej każdy słuchacz, i sam wyciągnie sens moralny z wypadków, to jest poczuje się do obowiązku położyć żywot na obronę warunków bytu, albo wszystkich usiłowań użyje do zmienienia przyczyn ciągnących za sobą konieczną zgubę i zagładę. Skoro zadanie dziejznawstwa zostanie tak pojęte, skoro obejmie badanie przyczyn i warunków, w skutek tej zmiany w zadaniu, zaciekanie się w winy ludzkie staje się rzeczą zupełnie podrzędną; winy te służyć mogą

tylko za illustrowane przykłady na poparcie głównych założeń dziejoznawstwa. Kondratowicz tej tak prostej rzeczy nie pojmował, i nie domyślał się nawet, że obok kwestji dynamiki społecznej, są jeszcze do rozstrzygnięcia daleko ważniejsze kwestje statyki, że główne wady tkwiły nie w grze żywiołów społecznych, ale w samym składzie społeczeństwa, że jezuita nie mogli nie prześladować Acerna (II, 234), że Lechita nie mógł nie zostać przy pewnych warunkach bytu bezładnym, panowie nie frymarczyć starostwami, szlachta nie hulać i nie miotać się pijanem słowem na wszystko (III, 54), że sejm polski połowy XVIII wieku nie mógł być inny jeno gwarliwy i ślepy, że w najnaturalniejszy w świecie a fatalny sposób:

Senator chowa swe grosze do skrzyni,
 Mnich się panoszy, bogaci bez granic,
 A szlachcic na pobory nie zgadza się za nic.
 (III, 55 Stare Wrota).

W prostocie ducha Kondratowicz wierzy, jak wierzyli wszyscy jego poprzednicy, począwszy od Jana z Czaronosasu, że wszelkie zło poszło ztąd, iż człowiek zniewieściał:

Z gościńca przodków odbieżał Sarmata (I, 54).
 W czystej miłości i w gorącej wierze
 Potężnych czynów była tajemnica;
 Ci wielcy ludzie, nie tak jak my mali,
 W Boga wierzyli i swój kraj kochali (III, 188).

W prostocie ducha i zgodnie ze swoim religijnym kierunkiem Kondratowicz w winowaniu stanów, wieków i pokoleń zakłada całą treść historji; z grzechów i przewinień konkludując teologicznie o różczce chłosty boskiej podnoszonej na narody (I, 53). Daleko dobitniej niż w historycznych poematach, wyraził Kondratowicz swoje pojmowanie dziejów polskich w jednym z późniejszych i pod względem formy najpiękniejszych utworów swoich: Staropolskich Roratach (1858, Wilno). Na ołtarzu stoi świecznik siedmioramienny, każdy z siedmiu stanów Rzeczypospolitej (król, prymas, senator, ziemianin, żołnierz, mieszczanin i kmieć) zapala po jednej świecy, wyobrażającej cnotę stanu kardynalną, i żyło się dobrze, póki gorzały światła. Zmieniły się obyczaje, zardzewiał świecznik, wtedy los siedmiu stanów został odmienny:

Na królów twarde włożono pęta,
 W pasterzach znikła gorliwość święta,

Senatorowie poili braci,
 Szlachta się ciągle konfederaci,
 Żołnierz jął gnębić tych, których bronił,
 Kupiec przez lichwę bogactwa strwonił,
 Kmiotek niewolnik zmarniał we dworze,
 Anioł zatrąbił na sądy boże (VII, 168).

Staropolskie Roraty pisane w czasie największej dojrzałości talentu Kondratowicza, są podobne do oszlifowanego kamienia, ale kamienia nie osobliwego gatunku; jeszcze mniej warto rozmyślanie w Starych Wrotach (1856 Borejkowszczyzna, III, 47) o najcięższym grzechu przeszłości, któremu było imię *swoboda*, ale tylko zła, a nie ta dobra, którą ma od Boga

I myśl człowiecza i niebieski ptaszek,
 i która wie dobrze, że gdyby w zakresie

Śmiała przekroczyć choć na jeden atom,
 To zamiast szczęścia, które daje światom,
 Straszliwe światu skończenie przyniesie.

Zarzucamy temu ustępowi nie myśl jego zasadniczą, która jest oklepaną prawdą, że nadużycie swobody jest szkodliwe, ale dziwaczne pogmatwanie pojęć swobody myśli ludzkiej, o którą tu nie chodzi, i która może

i powinna być bezwzględna, ze swobodą niebieskiego ptaszka, która stawiona człowiekowi za przykład jest po prostu niedorzecznością, i ze swobodą czynów ludzkich, która jest szkodliwa jeżeli przechodzi swój zakres, ale w największej części przypadkowo nie wie i nie domyśla się, że go przekracza, i która najczęściej błądzi przez brak rozpoznania swoich granic naturalnych, przez błąd logiczny raczej, niż moralny.

Wskazawszy, że podług naszego rozumienia Kondratowicz w skutek braku wyższego naukowego wykształcenia, nie był uzdolniony na historycznego poetę, że poezja jego historyczna nie wysoko się podnosi i często upada, łamiąc się z wielkimi kwestjami dziejowemi, oddajmy jednak cześć zasługom, uszanujmy zalety. Do wielkich należy ta, że Kondratowicz patrzył na dzieje trzeźwo, że nigdy nie hołdował panującemu naówczas messjanizmowi, że nie kanonizował jawno-grzesznicy, lecz i owszem powtarzał: „Tylko narzędziem Pańskim są krukowie, co lecą martwem nasycić się ciałem. Nie oni zgonu twojego przyczyną, Kraje przez siebie, nie przez obcych giną.“ (Stare Wrota III, 58). Jak gdyby lękając się śmiałości swojej myśli, autor uważa za obowiązek tłómaczyć

się i przeproszać: „Przeszłości święta! tyś nasza mistrzyni... A nie poczytuj nas za świętokradce, jeżeli się zdala przypatrując matce, na jej obliczu odkryjemy skazy.“ Że te grzeczne ukłony były tylko frazesem, udowodnimy to bliżej, gdy będziemy rozważali stronę talentu poety satyryczną.

Ta okoliczność, że tło dziejowe w poematach historycznych Kondratowicza bywa nieszczególne, często chybione, a w każdym razie nieodpowiadające warunkom społecznej sztuki, nie może mieć stanowczego znaczenia w sądach o wartości utworów, jak nic nie stanowi w obrazach dawnej szkoły włoskiej Leonarda Perugina i samegoż Rafaela niedoskonałość krajobrazów, na malowidłach brak powietrza, perspektywy, płaskość dalekich gór i lasów, które jak gdyby pasmami poprzylepiane na płótnie. Techniczne usterki w malowaniu tła nikną i zapominamy o nich w obec zalet działających osób, w obec piękności ich, rozlanego w nich życia i wyrazu. Nawet przy stosunkowo małym zasobie wiadomości o historycznej osobie, udawało się mistrzom z kilku rysów tak odtworzyć charakter tego człowieka, że późniejsze badania potwierdziły tylko potem pomysł poety. Kondratowicz nie posiadał

tego rodzaju intuicji poetycznej, i nie był szczęśliwym ani w wyborze, ani w pojęciu i oddaniu swoich bohaterów; brał się do wielu, i nie kończył, a tym, których wykończył, można bardzo dużo zarzucić.

V.

Pierwszym niedonoszonym pomysłem Syrokomli, poczętym przy wertowaniu Kochanowskiego i Kallimacha, był Władysław Warneńczyk, król pacholę, prowadzony na pasku polityki wszechchrześcijańskiej na Węgry i z Węgiei przez krzywoprzysięstwo na śmierć pod Warną. Za czasów Kochanowskiego mniej jeszcze byli ludzie skrupulatni, niedotrzymanie słowa w interesach wiary było taką fraszką, że Kochanowski we fragmencie bitwy z Amuratem pisze: „O święty królu Władysławie, któryś przez męstwo osiągnął w niebie stolec złoty, a na ziemi masz za pamiątkowy słup Bałkany, a za grób całą Europę!” Od czasów Kochanowskiego nietylko skrupuły bardzo urosły, ale zaszły wątpliwości co do męczeńskich zasług rycerza romantyka, który goniąc za błyskotną marą krucyat, rzucił swoje własne kraje i przyłożył się do zmarnowania władzy królewskiej;

zatem był w części znacznej sprawcą, iż później na królów „twarde nałożono pęta.“ Poeta terażniejszy musi koniecznie potrącić o kwestję sumienia, i robiąc z króla nawet baranka ofiarnego, musi potępić Cezaryniego i Zbigniewa Oleśnickiego, którym on dał się powodować. Przy takim obrocie poematu poeta trafiłby do celów, do których nie zmierzzał, i osiągnąłby skutki całkiem przeciwne stosunkowi swojemu do kościoła. Pobawiwszy się z przedmiotem jak z cackiem, Kondratowicz porzucił go pociągnięty inną błyskotką: przywiązał się myślą do największego warchoła, jakiego wydała Korona Polska, począł pisać gawędę o kanoniku przemyskim, tym w rakiety odzianym Alcybiadesie polskim XVI wieku. W tym genialnym rzeczniku o wrzących namiętnościach i piórze złotem, w tej dziwnej mieszaninie dobrych i złych żywiołów, poeta-malarz biorąc go za bohatera musi koniecznie uwydatnić i skombinować trzy główne rysy jego zawodu publicznego: rolę reformatora publicznego, promującego unię grecką, i żenienie się księży, rolę zapalczywego katolika biczującego różnowierców, i rolę równie zapamiętałego teoretyka złotej szlacheckiej wolności. Najpodobniej do prawdy, że Kondratowicza nęciło w Orzechowskim

to, iż ten nowator był do szpiku kości katolikiem, że ten zapaleniec, stronnik w duszy rygoru i kościelnej dyscypliny, usiłował stworzyć swojego rodzaju katolicyzm, zastosowany do ducha wieku (Kondratowicz, Dzieje literatury t. II str. 147 wyd. 1875). Że starcie się wrogich żywiołów w Orzechowskim było arcydramatyczne, nie podlega wątpliwości, lecz nie każda dramatyczna sytuacja tworzy bohatera dla dramatu albo epepei. By zainteresować i pociągnąć serca ku temu bohaterowi, trzeba, żeby albo przy wielkich dodatnich duszy tej przymiotach, los jej przez własną jej winę był poruszająco tragiczny, albo żeby skutkiem wewnętrznej walki człek ten wyrósł, stał się olbrzymem czynu przez zaparcie się swoich upodobań, przez podeptanie własnego szczęścia dla tryumfu wyższych, uznanych przez się ideałów. Pod żadnym z tych dwóch względów Orzechowski nie kwalifikował się na bohatera. Koniec jego był nie tragiczny, ale tylko mizerny; znienawidzony przez nowowierców jako ich pogromca, podejrzewany przez katolików jako bardzo wątpliwy sprzymierzeniec, odepchnięty przez wszystkich Orzechowski, wysługiwał się piórem Rzymowi, a nie doczekał się uświęcenia związku z żoną i uprawnienia

dzieci. To opuszczenie było całkiem zasłużone; człowiek z talentem, ale okazał się odlanym z lichego kruszcu, chwiejnym, interesowanym, wszystko poświęcającym dla namiętności. Darmo Kondratowicz dla uszlachetnienia bohatera stara się obdarzyć go sercem marzącym, rzewnym, zgubionem przez sny tęczowe i myśli jutrzniane (I, 247), które w rażącej są sprzeczności z duszą wulkaniczną, naturą o gwałtownych i niepohamowanych popędach:

„Gdy czytam, to namiętnie, modłę się gwałtownie,
 Kiedy Kocham, precz z myśli cała mądrość
 [ziemi
 A kiedy pokutuję, to łzami krwawemi (I, 240).“

Przytem człowiek to bardzo pozytywny, bardzo praktyczny, biegły w panowaniu nad okolicznościami i nad ludźmi, ognisty w słowach a w gruncie ostrygły sercem i samolub. Bez najmniejszego powołania znając swoją krewkość, Orzechowski staje się księdzem dla kawałka chleba, i wyświęca się z ukartowanym zamiarem pojęcia żony, to jest niedotrzymania ślubów kapłańskich. Darmo poeta dla usprawiedliwienia tak fałszywego kroku robi zeń cielca ofiarnego władzy ojcowskiej:

„Bierz przekleństwo ojcowskie albo księżą suknię — Jedno z dwóch“ (I, 245). Orzechowskiego nie usprawiedliwia w dalszych jego kolejach nawet to, że „Wciąż cypryjska bogini rozpała mu serce“ (249), bo stały zamiar ożenienia się powstały przed przyjęciem przezeń sakramentu kapłaństwa, poprzedził znajomość ze Straszówną i znajomość z Chełmską, i był oczywiście natchniony nie miłosnym szalem, lecz całkiem innemi pobudkami, wielką ambicją, żądzą odegrania roli, o której wiedział, że była na dobie i to zjednałoby mu odrazu ogromną popularność. Popularność była ogromną, ale sława podobna wielce do sławy Herostrata, bo ten ksiądz, który zadarł z biskupami, by gwałtem w kościele pozostać, naprowadzał na kościół nowowierców, którzy burzyć zamierzali i posunął rzeczy do tego stopnia, że Polska omal nie została protestancką. Wielkim panom Górkom, Radziwiłłom, Zborowskiemu, Leszczyńskiemu, którzy przebierali się za pacholców, aby towarzyszyć Orzechowskiemu w Krakowie na konferencję z biskupami i płacili mu jurgielly, chodziło głównie o to, aby przy jego pomocy wyrwać egzekucję, to jest żądło kary świeckiej z klątw biskupich i otworzyć nowowierstwu na oścież do szerzenia się

wrota, Zakwestjonowano na dobre prawa biskupów sądzenia szlachty za kacerstwo. Po tym wielkim, ale ze względu na przekonania motora sprawy smutnym dla niego tryumfie, nastąpiły deprekacje, ukorzenie się trybuna szlachty przed kościołem, zawieszenie klątwy, odwołanie się do Rzymu i nieskończona ze strony Rzymu odwłoka a zasługiwanie się Orzechowskiego piórem zaprawnem jadem, a obróconem przeciwko nowowiercom. W pismach tych, które się stały dla dwu następnych wieków prawie katechizmem politycznym, dokonało się dozgonne przymierze reakcji religijnej ze szlacheckością, rządu teokratycznego z anarchją, których dzieckiem była ta grzeszna i wyklęta przez Kondratowicza swoboda, córka zniszczenia, do której hasło najpierwej ten poda, kto chce narzucić niewolnicze pęta (Stare Wrota III, 47). Kondratowicz z rozwinięciem swego poematu do tego okresu życia Orzechowskiego nie doszedł, nie mógł więc sprawdzić fałszu, który leżał w początkowem założeniu poematu, w tych pierwszych jego wierszach nadętych przesadą a niesłusznym:

„Jam człek wolny, ja dziecię wolnego narodu,
Za cóż krzepkiemi więzy skuto mię za młodu?“

[(I. 236).

Kondratowicz nie doszedł nawet aż do kulminacyjnego punktu walki Orzechowskiego z biskupami, i w ułamku, który posiadamy, zarysowani tylko dwaj główni przeciwnicy: Orzechowski mający się żenić z miłości ku małgorzacie Chełmskiej i biskup Dziaduski, epikurejczyk, trefny dworak, kreatura Bony, wbrew historii odmalowany jako rygorysta i asceta. Można się domyślać okoliczności, które odtrąciły poetę od obranego przedmiotu. Orzechowski opracowywany był w załączeniu w 1851 r.; w tym roku przypadły dwie podróże Kondratowicza do Wilna w Styczniu i we Wrześniu. W czasie pierwszego pobytu, Kondratowicz poznał się osobiście z poetą całkiem odmienną niż jego własną natury, z gatunku mistyków i tytanów, Edwardem Żeligowskim, który pracował wówczas nad poematem: *Mnichy* (wiersze prześliczne, myśl jadowita Kraszewski, str. 44). We Wrześniu 1851 r. już był Żeligowski przeniesiony do Petrozawodska, ale poemat otrzymał swój tytuł ostateczny: *On, Ona i Oni*. Kondratowicz przysłał zeń kilka ustępów do Athenaeum oznajmiając że całość niebardzo mu się podoba (51). Była to kontynuacja Monachomachji, ale pełna żółci; za temat wzięta miłość zakonnika; poemat bił taranem w sa-

mą instytucję celibatu. Kondratowicz który wybrał Orzechowskiego jako dramatyczny przedmiot, bez najmniejszej ochoty poruszenia kwestji praktycznie i stawienia jej na porządku dziennym, cofnął się natychmiast, i opuściwszy kanonika przemyskiego w krytycznej chwili, wśród rozpoczętych starań o małżeństwo, poszedł szukać wątku do eposu w odległych dziejach przedchrześcijańskich i stworzył największy ze swoich poematów epickich, *Margiera*, najlepsze podług przedmowy z dzieci jego ducha, bo najdłużej było opracowywane, od końca 1852 do 1854 roku, i najwięcej kosztowało twórczych rozkoszy i boleści; dziecko, któremu zawczasu skarbił na świecie dobre przyjęcie, pisząc do Kraszewskiego: *esto ei propitius*. Ani współcześni, ani potomność nie potwierdzą zapewne tego sądu autora o swoim własnym utworze. Temat do poematu nastreczyła pani Paulina Wilkońska. W 1336 roku pod koniec rządów Gedymina, zatem na czas krótki przed chrztem Litwy, Litwini obleżeni w trudnych dziś do odszukania Pillenach czy Pullen nad Niemnem czy na Żmudzi, nie mogąc zamku obronić, a nie chcąc się żywcem dostać w ręce nieprzyjacielskie, pozabijali się wzajem wraz z wodzem swoim Margierem w liczbie 4,000.

Tyle tylko słów kroniki. Kraszewski uważa sam temat za nietrafnie obrany, bo żaden autor nie może dziś sprostać podobnej bohaterkiej osnowie, która wielkością swoją zabije poetę. Podług Kraszewskiego (56) taka legenda jest jak obłamany posąg starożytny, który musi stać w muzeum, okaleczony lecz nietknięty, bo wszelkie sztukowanie jest niemożliwe: „Dajcie (artyście) jednego trupa z mogiły do tego obrazu a całość (przezeń utworzona) runie lub strupieje cała.“ Pozwalamy sobie zaprotestować przeciwko temu wyrokowi. Legenda, o której mowa, nie jest odłamem mistrzowskiego posągu, lecz prosto niekształtnym kamieniem, kawałem granitu mało na posąg przydatnym z powodu trudności w rzeźbieniu tego materiału. Samobójstwo jest to wypadek codzienny, nie dowodzący bynajmniej bohaterstwa, i w wyjątkowych tylko okolicznościach godny czegoś więcej nad politowanie. Samobójcze mordowanie się całymi massami nie wyraża właściwości i cech odrębnych pewnego narodu albo wieku, zdarzało się ono bardzo obficie i w wojnach religijnych i w starciach się ras jednych z drugimi, dla uniknięcia wymyślnych mąk, śmierci albo haniebnej niewoli. Któż nie pamięta epizodu ze wściekłej bitwy

pod Aquae Sextiae (102 r. przed Chr.), kiedy legje Marjusza szturmowały tabor Teuto-
nów, a niewiasty teutońskie dusiły własne
dzieci i mordowały się na wyścigi? Samo-
bójstwo massami możebne u ludzi najdzik-
szych w walkach pomiędzy sobą, plemion
ludożerczych w epokach prawie przedhisto-
rycznych. Zajęcie poety i historyka może
obudzić nie sama krwawość i groza okro-
pnego finału, ale chyba pojęta moc i wznio-
słość uczucia, które do tej rozpacz przywio-
dło, a zatem wielkość straty, nad którą żal
wywołał samobójstwo. Finał nabiera wielkie-
go znaczenia, jeżeli zamyka szereg wielkich
dziejowych wypadków, jeżeli wyraża skon ca-
łego narodu, zejście ogromnej cywilizacji. Na
tle wielkich dziejowych wypadków olbrzy-
mieją działające i wyrzynające się osoby, tak,
że innemi oczyma patrzymy na mordujący
się nieznanego ludek, a innemi na uzbrojonego
w nóż ofiarny arcykapłana na fresku Kaul-
bacha: Zburzenie Jerozolimy, albo na żonę
Hazdrubala po sześć-dniowym szturmie Kar-
taginy rzucającą się z dziećmi w płomień
w świątyni Eskulapa. Ani rok 1336 nie był
w żadnym względzie stanowczy, ani może
czemkolwiekby przemawiać do wyobraźni
zaprzepaszczonej gdzieś twierdza Pullen, ani

może dziś poruszyć kogokolwiek, chociażby nawet potomków swoich z krwi i kości, stara pogańska Litwa ze swojemi bogami. Nietylko brak nam klucza do tej wygasłej religji całkowicie na wieki pogrzebanej i że tak powiem zapieczętowanej tak, że nawet archeologii nie uda się zapewne nigdy wyjaśnić tajemnicy; lecz gdybyśmy nawet ten klucz posiadali, wątpliwa rzecz bardzo, czy mogłaby nas pociągnąć i zachwycić religja okrutna i dzika, wymagająca w XIV jeszcze wieku ofiar ludzkich, w których nowsi antropologowie i badacze wieków przedhistorycznych upatrują widoczny związek z rozszerzonym niegdyś powszechnie kannibalizmem. Cześć ognia i zwierząt, gusła i wróżby, ofiary ludzkie, opilstwo i łupieztwo przy dojmującym ubóstwie chrobrej łączanej Litwy, wszystko to są ujemne cechy, cienie na obrazie. Musi je przytoczyć hołdujący prawdzie poeta historyczny, nie może jednak z nich wysnuwać głównego wątku bohaterskiej powieści, bo wywołałby wstręt i obrzydzenie zamiast uwielbienia i współczucia ku starym rzeczom, które przedsięwziął oczyszczać z pyłu i podnosić. I w Grażynie zarysowana gdzieś w dali świątynia władcy pioruna:

„Gdzie woły, konie, trzoda srebrnoruna
Codziennie krwawi poświęcone zgliszcza.“

I w Grażynie wśród stosu stoi przeznaczony do spalenia niemiecki braniec na dzielnym rumaku, trzykroć łańcuchem przykuty do haku; ale to są tylko nie nieznaczące dodatki, główną zaś treść stanowi mężny czyn Litewki, która przez miłość dobrze pojętą kraju, zerwała pomimo męża ukartowane przez niego na zgubę ojczyzny litewskiej związki z Niemcami. Wielkiego dziejowego znaczenia nabyła Litwa, nie przez to, że się trzymała swoich orjentalnych bogów, ale owszem przez to, że się umiała ich pozbyć i poślubić wiarę swoich nieprzyjaciół, której odtąd stała się najwierniejszym i najgorliwszym apostołem. W XIV-tym wieku Litwę już przesiąkały na dobre żywioły chrześcijańskie; wielorakie związki łączyły z chrześcianami książąt, wiara prostego ludu nie była wiarą rządców, a pierwsze miejsce w rachunkach rządzących trzymała nie religja, lecz polityka. Cudownie te warunki były pojęte przez Mickiewicza w jego wielkim poemacie litewskim. Walter Alf, już chrześcianin, nawrócił Aldonę, Aldona zostaje pustelnicą w zakonnem mieście. W myślach i Wallenroda,

i Aldony pogaństwo nie ma już zgoła żadnego zakątka. Kondratowicz począł sobie z tymże tematem całkiem inaczej: do kronikarskiej legendy o zamku Pullen wprowadził litewską mitologję, i z ofiar ludzkich utworzył oś główną, około której obracają się wszystkie wypadki powieści. Margier ratuje rannego Ransdorfa tem tylko, że go przeznaczą na całopalenie; bogowie chcą ofiary z Ransdorfa, a gdy Ransdorf uciekł z tą, co mu uciec pomogła, córką Margiera Egle, chrobra Litwa z Margierem zabija się i ginie w pożodze zamku, dlatego tylko, że nie zostali spaleni przez bogów požądani na mięso ofiarne Ransdorf i Egle, zkąd wniossek, że gdyby zostali spaleni, i Margierby ocalał i chrobra Litwa tryumfowałaby przed krzyżem. Wielka kwestja plemienna sprowadzona do kwestji niezadowolonego apetytu bogów, a na domiar wrażenia wstrętu i niesmaku, jawi się widomie samo bóstwo Poklus w postaci straszidła podobnego do tych, które w szopce pokazują kolendujący chłopcy:

„Postać naga, koścista, włosata, brodata,
A ze źrenic, spojrzenie jak płomień wy-
[lata.“

Wszyscy Litwini popadali przed zjawiskiem, jeden tylko Margier zmierzył się mężnem okiem z bogiem piekieł. W przedmowie Kondratowicz zasłania się przykładem Wirgiliusza i tym przykładem tłumaczy wprowadzenie do poematu boga — maszyny. Błahe tłumaczenie się, bo nie kładąc nawet na szalę różnicy wieków między naszą epoką, w której inaczej patrzy się na cudowność, a epoką ulubieńca Augusta, — między obranemi przedmiotami ogromna zachodzi niejednostajność. Wirgili opracowywa wprawdzie bez wiary żywe narodowe podanie, najpatrijotyczniejsze, jakie Rzym posiadał o założeniu wielkiego miasta, zatem podnosi to, w co wierzyć uważało się prawie za obywatelski obowiązek; nasz zaś poeta zmyślał cudowność całkiem nieistniejącą w pojęciach publiczności, i kleił sztuczne z papieru na drutach do niczego znajomego publiczności niepodobne straszdyło, które nie tylko nie było w stanie sprawić złudzenia, ale wywoływać mogło tylko komiczne uczucia. Przy tak zupełnem chybieniu mitologicznej części poematu, mógł on się trzymać tylko przez wielkość charakterów działających osób, przez to, co z własnej duszy autor w nich włożył; ale jak wiadomo, autor nie należał do liczby wielkich

duchów, nie posiadał zdolności tworzenia wielkich charakterów; szedł drogą przetorowaną przez Mickiewicza, a niewłaściwą swemu talentowi, nie mogąc zmierzyć się z olbrzymem, z którym niedogodne dla pomniejszych poetów wszelkie porównanie i sąsiedztwo. Jak Słowacki w *Balladynie* nie może się opędzić ideom Szekspirowskim, tak Kondratowiczowi nasuwają się wciąż obroty i obrazy Mickiewiczowskie.

„Czemuż pieczęć na tobie kładą naprzemiany,
Dziś Pańscy aniołowie, a jutro szatany?“

Jak gromu żywiły, [(Margier II, 31)

Tak czekają twej myśli szatan i anioły. (Mick.
[Dziady IV). .

W imię piekieł czy niebios ja idę na wojnę?“

[(Mar. II 66—67)

Czy się wzniosę w obłoki, czy w przepaść
[zagrzebię?

Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebie za-
[świecisz (Dziady)

A ty jak obłok górny, ale błędny pałasz.“

Już doszli napastnicy do połowy wałów,
Już głowy napastnicze wolne od wystrzałów.

[(Mar. II, 85).

Patrz odpowiednie miejsce w Red. Ord. Dwa pierwsze ustępy pieśni IV Margiera :

nię z psiarni Krzyżaków, typowy oficer służbista wszystkich przeszłych i przyszłych regimentów, mało co lepszy od Phebusa Szatopera w Nôtre Dame de Paris, — młode, piękne, zdrowe ciało, i krew gorąca. Od dziecka chowany w obozie, Ransdorf rozpuścił się nadobrze i zasmakował w winie, i w towarzystwie malborskich kokotek, potem ocalony prawie cudem na pobojuwisku, i nudząc się śmiertelnie w niewoli na zamku Pullen, młody wojskowy smali jak to mówią, koperczaki do Margierówny Egle, która choć nie w atłasach chodzi, ale w samodziałowem płótnie i szyję stroi tylko koralami, ale za to opleciona cała niby Gorgona wieńcami z łąszących się węzów. Na widok jej krzyżak prawi komplementa którychby się nie powstydził żaden klasyk XVIII wieku.

„O ślepi Litwini,
Tutaj nie wąż jest Bogiem, tu ona bogini.“
[(II, 30).

Poczem filozofuje, niby panteista i metafizyk niemiecki:

„Piękno, to wielkie słowo, potęga nielada.
Bóg jest Pięknem i cuda swoje złożył w Pię-
[knie,

Przed nim wdzięczy się niebo, a ludzkość
 [ukłęknie,
 A piekło na twarz pada i w prochu się wala...“

By uratować skazanego na spalenie Ransdorfa, Egle ze starym wojakiem Lutasem uprowadza jeńca przez loch podziemny na swobodę, a puszczając go, biorą odeń tę tylko przysięgę, że nie zdradzi tajemnicy lochów. Wrócony do swoich, Ransdorf postępuje jako człek sumienny, dosyć nawet uczciwy, to jest zamierza ściśle spełnić to, co przysiągł, ni mniej ni więcej. Pójdzie z wojskiem na Litwę i na sam Pullen, bo tego mu nie zakazano; ale lochów nie wyda a nawet w dodatku dobry chłopiec, nie będzie bezbronnych mordował i bez potrzeby palił chat litewskich (II, 70), i za to wart, aby mu powiedziano: Bóg zapłać. Pod zamkiem Pullen w najdziwniejszy sposób dowiaduje się Ransdorf, że choć nie z jego winy, ale z jego przyczyny, Egle ma być stracona za to, że ułatwiła mu ucieczkę. Tu miłość, wdzięczność i chęć ocalenia życia kochanki, biorą górę nad postanowieniem dotrzymania przysięgi i Ransdorf wdziera się przez loch z łucznikami, by porwać i uprowadzić Eglę; wiarołomca, ale wśród tak łagodzących winę

okoliczności, że sędziowie przysięgli możeby mu dali werdykt, że niewinien. Poemat wygląda nakształt bardzo zręcznej adwokackiej obrony, po której jednak, jak prawie po wszystkich obronach, schodzi z placu broniony winowajca rozebrany z uroku, bo się okazał najpospolitszą w świecie figurą, taką samiutką jak zwyczajni ludzie. Co się tyczy Itigenii litewskiej, Margierówny, jak wszystkie kobiety u Syrokomli, zarysowana mglisto i niewyraźnie, ale przy bliższem zastanowieniu się nad nią, okazuje się, że to jest dość zwyczajna panna romansowa z naszych, a nie litewskich czasów. Litwinka łatwo mogła się zakochać w rannym i bardzo nie-szczęśliwym krzyżaku; jeżeli się zakochała, to zapamiętała bez podziału serca pomiędzy Ransdorfem i innemi rozmaitemi względami wyższego porządku i znaczenia, bo wszystkie względy i konsyderacje są dziećmi cywilizacji nabytemi skutkiem starannego tresowania człowieka od młodu, wdrażania go do takiej rozwagi, aby każdy krok jego był z namysłem, a w każdym czynie należyta miara. Zakochana Litwinka, kiedy bogowie zażądali śmierci Ransdorfa, musiała sobie zbrzydzić bogów:

„Kapłani i wróżbici i sami bogowie,
 Ja bluźnię waszej sile i waszej dobroci.“
 [(II, 42).

Jedyną ucieczką od tych bogów i stanowiącej z nimi jedno Litwy, było poślubienie wiary Ransdorfa i ojczyzny Ransdorfa i ucieczka z nim razem przez podziemne lochy, poczem z powodu wielkiej nierówności w wykształceniu pomiędzy zakochanymi, Ransdorf prędzej czy później odtrąciłby biedną dziewczynę, która dla niego porzuciła wszystkie swoje obowiązki; Egle albo zatęskniłaby się na śmierć po swoim domu i kraju, albo może zdobyłaby się na zabójstwo z zazdrości, w każdym zaś razie jej losy nicby wspólnego nie miały z losami twierdzy Pullen i Margiera. Pod piórem Syrokomli rozwiązanie romansu całkiem inne, bo tracąc cały urok dzikiego kwiatka polnego, leśnej konwalji, bosa księżniczka Egle staje się wytworną, sentencjonalną damą, która pod względem rozbierania i cieniowania swoich uczuć, mogłaby dać niejedną lekcję samemu Ransdorfowi. Ona i spojrzeć tak umie z wysoka i pańska, że osadzi śmiałka na miejscu (Ale córka Margiera jakby ostrym grotem skarciła go spojrzeniem... II, 39). Wydarłszy bogom swoim Ransdorfa,

zostaje na miejscu i dotrzyma kroku i bogom i ojcu, bo myśli w niej niewieście i zamiary niezmiernie daleko sięgające; może ten Niemiec pojedna kiedyś Niemców z Litwą.

„I powstrzyma nieprzyjaźń co dwa ludy
[plami,
I złączy Niemców bogi z naszymi bogami.“

Po ucieczce Ransdorfa osądzona na pastwę bogom i osadzona w lochu, Egle nie przestaje politykować i przymierzać do siebie jakby suknie jedną po drugiej walczące religie:

„Nieszczęsna dziewczyna, to modli się to prze-
[klina,
To krzyżyk do ust ciśnie, to go szarpie z łona
[(II, 85),
To odpędza zanadto srogich bogów Litwy,
Bo w koronie z cierni Bóg krzyżaków, po-
[gląda ku niej miłosierniej.“

Wybiera się uciekać do Niemców pod Chry-: stusa władzę, to uważa się za zbrodniarkę

O święci bogowie!
Ja się cofam gdy Poklus ofiary wymaga
Dla ocalenia Litwy...

„Bo w słowach macierzystych jest urok nie-
 [lada,
 Wróg zawsze nas rozbroi, gdy niemi zagada;
 Zawsze zdoła przygasić namiętne zarzewie.
 Ach i dobrze, że o tem czarodziejstwie nie wie.“

Ze wszystkich naszych dawniejszych prowincjonalizmów, litewskiemu tradycja przyznawała dotychczas najwięcej hartu w charakterze i odpowiednie temu hartowi wady: mściwość, długą pamięć o krzywdach (zawzięty jak Litwin). Dziś złagodniały obyczaje, więc zatarły się nieco te właściwości, przed kilku wiekami bez porównania wydatniejsze, anachronizmem więc najzupełniejszym jest uosobienie dawnej Litwy w Lutasie i Margierze, dwóch sielankowych mazgajach, w których niepewnym ręku Litwa musi ginąć, bo ani stać przy swoich bogach, ani wiernie służyć ich i Litwy sprawie nie umieją. Stary wojownik Lutas zawczasu daje Niemcom za wygraną: „Za lepszych dni świata, Może miłość dwa ludy niezgodne pobrata, Dla Litwy i dla Niemców będzie Bóg jednaków“ (dodajemy od siebie: nie pobratała dotychczas, chociaż Bóg jednaków). Gwoli uczuciom bardzo rycerskim, ale czyniąc z Litwy jako ojczyzny igraszkę, Lutas pomaga uciec Rausdorfowi

dlatego tylko, aby młodzian przyszedł znowu z Niemcami palić chaty litewskie, żeby go w boju ujrzeli Litwini i pokonali, co im przyczyni chluby (II, 44). Jeżeli Lutas dlatego wypuszczał Ransdorfa, aby mieć potem przyjemność z nim w równym boju się potykać, jakimże prawem może mu wyrzucać wiarołomstwo, naprowadzanie Niemców na Litwę (II, 96)? jakimże prawem może go kląć na wszystkie bogi Litwy, a co najlepsze na Chrystusa: „Ciśnij z krzyża piorunem, poganin cię błaga!” Sprawdziło się czego chciał Lutas, ale nieco inaczej, bo Niemcy przyszli, ale z przemagającą siłą, i wzięli samego ranego Lutasa do niewoli. Tu staje się rzecz, która dowodzi albo niesłychanej głupoty staro Litwina, albo tłómaczy się maligną: Lutas, którego wszystkie myśli kołują koło obawy, aby Ransdorf nie zdradził tajemnicy lochów, nic nie ma pilniejszego jak zwierzyć się mu o opłakanym losie przygotowanym dla Egli, więc wprowadzić go w najstraszniejsze pokuszenie i zniewolić prawie do zdradzenia tajemnicy i wydarcia kochanki, zamkniętej z przyczyny Ransdorfa do lochu, z rąk jej oprawców. Zgubiwszy Eggle przez ułatwienie jej uciezki Ransdorfa, Lutas gubi też zamek Pullen, Litwę i Margiera. Sam Mar-

gier jest zbiorem niekonsekwencji, napróżno autor chce wmówić, że:

„Jedna tylko nienawiść dla Niemców w nim
 [żyje,
 Ale to taka straszna jakby wszystkie żmije
 W ogniste jego serce swój jad wysączyły.“
 [(II, 12).

Bohater ryczy tylko, ale nie kęsa; nietylko zmyśla, że zachowuje Ransdorfa na całopalenie, ale sadza go u swego własnego stołu jak brata, jak syna: „Jak gościa, co zdaleka przybywa w te kraje.“ Wyrafinowana rycerska kurtuazja, która mu każe krzyknąć: „Wara! Nad wrogiem rozbrojonym pastwić się niewolno“ (15), a potem czekać ze strzelaniem póki oblegający Pullen Niemcy nie skończą pacierzy:

„My nie walczym z ich Bogiem jak oni z naszymi;
 Oni ufni w odległość i swój zastęp krzepki
 Nie mogą się w tej chwili spodziewać zaczepki;
 Uderzyć niespodzianie — to byłoby zdradnie.“ (84).

przynosi w końcu te owoce, że ocalony Krzyżak porywa w oczach ojca córkę. Wtedy nie

przez patryjotyzm, który nie ma celu, kiedy wszystko djabli biorą, ale przez gniew i ze złości, Margier przebija dwiema strzałami wyrodną córkę „i krzyżacką gadzinę“; ale że złość, uczucie niepiękne, więc autor podsuwa Margierowi uczucia i myśli godne wodza i księcia, który daleko później utonął w Elsterze, w tej apostrofie Margiera do Litwy:

„Daj świadectwo niebiosom w uroczystej dobie,
Zem cześć twoją ocalił i zginął przy tobie!
Nie umarłaś spodlona tylko nieszczęśliwa.“

[(113)]

Bogowie krwi żądni i ich wyznawcy filozofujący o tem, że kiedyś dla wszystkich ludzi będzie Bóg jednaków, nowożytna religja „punktu honoru,“ wszystkie wieki splątane i stopione w niekształtną amalgamę — otóż i cały epos Margierowski. Sam Kondratowicz pisze w przedmowie do Margiera: „Nie mając nadziei trafego skreślenia (dawnych) Litwinów, kreśliliśmy ludzi w ogólności,“ ale i ludzie noszą piętno jednego wieku, a u Kondratowicza są to ludzie mnogich wieków, zatem nieżywi i nienaturalni.

Chłodne przyjęcie Margiera przez publiczność nie nauczyło autora że wszedł na drogę niewłaściwą. On trwał w zamiarach i

tworzył pracowicie i z wysileniem rzeczy pisane na ton podniosło bohaterski, opowiadania, dyalogi i całe tragedje tak małej wartości i tak ckliwie nudne, że dość je tylko zarejestrować. Szereg długi, praca źle użyta, talent zmarnowany. Czytelnikowi wystarczy najpobieżniejsza o nich wzmianka.

VI.

Zestawmy w piszącym wielki talent poetycki obrazowania z niedorównywającym mu rozumem i niedostatecznym wykształceniem, a w rezultacie pracy nad wielkim historycznym tematem, otrzymamy rzecz słabą, ćwiczenie studenckie. Któż z nas za młodu nie rwał się do przedmiotów, które od szkolnej ławy olśniewają czarem wielkich wspomnień? kto nie umierał z Leonidasem pod Termopilami, z Winkelriedem, kto nie walczył pod Maratonem i Salaminą? Historia powszechna szkolna mieści w sobie całe szeregi takich uświęconych tradycją komunałów. Komu nie starczy środków, by zerwał z faktu wyrosłą zeń legendę i ujął ten fakt, jakim był w rzeczywistości prosty i nagi, zwykle o wiele szczytniejszy i bardziej poruszający niż legenda, temu nic innego nie pozostaje, jedno przenieść się w legendę, wleźć w skórę tradycyjnego bohatera już zepsutego przez

podanie i odegrać jego rolę, to jest przedstawić sobie te myśli i uczucia, które prawdopodobnie w duszy bohatera grały w danych okolicznościach. Trzeba być Byronem albo Alfierim, by w tych ostatnich warunkach pociągnąć i roznamiętnić czytelnika, albo kreśląc rozpacz, nędzę, cierpienia współczesnego człowieka pod maską tragiczną Sardanapala, Falierego, jak czyni Byron, albo pobudzając do czynu politycznego, jak to czynił Alfieri. Kondratowicz ani mógł się mierzyć z temi orłami, nie bolał bolami wieku, od polityki zawsze stronił jak najbardziej lecz brał jedną po drugiej tę lub ową legendę, dorysowywał je i kładł na nie farby. Treść zwykła tematu — patryjotyzm, który się jednak nigdy nie zaognia, nie błyska natchnieniem, lecz jest jakiś bezbarwny, szaropopielaty. Bohaterstwo przez patryjotyzm to męskie to niewieście; na każdy rodzaj przypada po kilka okazów. Niewieście bohaterstwo upodobane przez Kondratowicza, to poświęcenie się Jadwigi oddającej rękę Jagielle.

Na ten temat pisana w r. 1855 powieść „Córa Piastów“ (II, 198), w której znowu występują postacie Litwinów, ulane na wzór i podobieństwo autora, niby z bawełny i masy: „Brodate, dzikie, ubrane w niedźwiedzie,“

„Miękkie jak dzieci gdy w domowej chacie,“ i w której siostra mazowieckiego Konrada, Hanna, poślubiająca litewskiego Trojdena — jest rękojmnią przyszłego pobratania się dwóch narodów.

Ten sam pomysł, ale skarykaturowany, stanowi wątek dramatu *Możnowładcy i Sierota* z r. 1858. Panowie Chodkiewiczowie i Radziwiłłowie prowadząc gorszącą zwadę o rękę i posag ostatniej Olelkowiczówny, omal co nie wydali sobie wzajem bitwy w Wilnie, wreszcie dobili targu o sierotę, której o serce ani zapytano. Z tych frymarków, w których tak niepiękną rolę gra Jan Karol Chodkiewicz, Syrokomla wysnuł zmyślony romans między nim i księżniczką Słucką, kazał Chodkiewiczowi pojedynkować się po nocy z hiszpańska z Januszem Radziwiłłem pod Chodkiewiczowską kamienicą. Dla zwiększenia wrażenia, wojna na scenie wydana, działa grzmią, Wilno gore: wtedy poświęcając się księżniczka, porzuca Chodkiewicza i oddaje się Radziwiłłowi ze słowami, które brzmią jak pomyłka: „Jeżeli ręce omyłeś z krwi bratniej,“ bo w istocie w zakończeniu Radziwiłł dlatego tylko dostaje księżnę ze Słuckiem i Kopyłem, że ręce nadobre i bez wahania się umoczył po łokieć w krwi bratniej, zatem

w nagrodę za burdę, która jest niby prologiem do całego szeregu wojen domowych na Litwie.

Bohaterstwo męskie u Syrokomli polega na poświęceniu dla kraju siebie samego, swej wolności, swych dzieci. Margier zabija córkę dla ocalenia honoru Litwy, wraz po nim idzie Kasper Karliński (z r. 1857) strzelający do syna, którym nieprzyjaciele zastaniają się idąc do szturm. W *Wyroku Jana Kazimierza* (z r. 1859) szlachcic Gnoiński przeszedł odrazu Brutusa, bo nietylko że przebił ręką własną syna swego za szpiegostwo i zdradę kraju na rzecz Szwedów, lecz potem, gdy się okazało, że ranny wyzdrowiał, tenże ojciec woła głosem wielkim do króla:

„Ja sam go królu zabiję raz drugi,
Ugodzę lepiej i sam się zabiję,
Nie chcę przebaczyć, prawo nie przebacza,
Tylko od hańby zachowaj mu szyję.“ (V, 268).

Hart to fałszywy, dość było słów kilku królewskich i obietnicy, dość zamienić stryczek i infamią na prostą bannicyą, by polski Brutus zapomniał, „że hańba tkwi w czynie a nie w wyroku,“ by stopniał jak воск i pogodził się nietylko z losem, ale i z synem wyrodkiem:

„Dopóty śluby moje nie ustały
 W obliczu kraju króla i kościoła,
 Aż wreszcie prymas przez uniwersały
 Szlachtę napole elekcyjne zwoła,
 Aż wszystkich społem niezmuszone usta
 Królem ogłoszą trzeciego Augusta.“

W tym twardym obrońcy złotej wolności co kraj do zguby przywiodła, Kondratowicz upatrywał „wielkiego człowieka“ (186) i wma-
 wiał, że to ten sam Kasper Karliński, tylko na tle innej epoki (Przedmowa). Mamy wątpliwość co do wskazanej precedencji, ale nie wahamy się powiedzieć, że w przekonaniach starosty Kopanickiego tkwi już całkiem gotowa Targowica, i że byle odmienić trochę epokę, Poniński przedzierzgnie się w Szczęsnego Potockiego, postać, od uwielbienia której Kondratowicz był najbardziej daleki. Starosta Kopanicki więcej niż wszelkie inne utwory Kondratowicza udowadnia jak mu się nie udawała historia i jak się rozchodziły w tych pracach skutki z zamiarami. Pomijamy słaby *Zgon Acerna* (1855 r.), pomijamy pozbawiony wszelkiej oryginalności i tchnący fałszywą sentymentalnością, portret Zygmunta Augusta w *Królewskich Lutnistach* (1856 r.), epizodycznie i dodatkowo występujące posta-

cie Skargi w *Starych Wrotach*, i hetmana Tarnowskiego w *Noclegu Hetmańskim*. Dla sławy autora nie przyczyniłoby uszczerbku, gdyby przypadły te utwory, chociażby może na ilość wierszy ubyłaaby z pism autora większa połowa. Kondratowicz pociąga ku sobie nie przez to, że był poetą, ruin. Twarda i nieunikniona konieczność kazała poetom jego kraju i wieku mieszkać w zwaliskach, sypiać w trumnach, bawić się w czaszki i kości, i sprawować się jak Janko Cmentarnik w jednej z gawęd Syrokomli (III, 72—108, Borejkowszczyzna 1856 r.).

Wraca stary wiarus do rodzinnej wioski, nie znajduje ani jednej duszy znajomej, więc się wlecze na mogilnik i przepija do umarłych duchów i braci, aż go znaleźli skostniałego z próżnym kuflem na cmentarzu. Z Janka dworowała sobie gawiedź wiejska jak z warjata. Zagęścili się w poezji polskiej cmentarnicy, dlatego że w pewnej chwili panowało ogólne uspsosobienie jak w dzień zaduszny; Kondratowicz znalazł się przypadkowo w tym orszaku i śpiewał z nut wraz z innymi poprawnie i gorliwie, ale nieraz temperament brał górę nad szkołą, jej dyscypliną i wytresowaniem. Wtedy albo wśród poważnego chorału, ku zgorszeniu zachowaw-

ców dźwięczały ostro i skoczno, na całkiem inny takt, bębenki Stańczykowej maroty; albo rwały się z serca niespodziane nauki moralne, różne zawezwania do czynu którychby się nie powstydział żaden odrzucający historją radykalista. Ukryty w Kondratowiczu żartowniś, płatał co chwila bolesne figle epikowi, a moralista wyciągał nie wiedzieć jak, wprost z dobrego serca i instynktownie, takie konkluzje, które się historykowi ubóstwiającemu przeszłość ani śniły. Kondratowicz sam nie pojmował doniosłości tych wyskoków swojej wysoce uzdolnionej natury po za założenia szkoły, i nie zdawał sobie wcale sprawy w jaki sposób mogły się w nim kleić prastare pojęcia historyczne, w skutku których szlacheckość musiała go uznawać jako swe dziecko, jako kość z kości, z najgorętszemi życzeniami właściwemi tym ludziom, od których stronił, ponieważ „plwali na wiarę, tradycją, na wszystko co drogie i święte“ (Kraśzewski, str. 42). A jednak skojarzenie to istniało; postarajmy się objaśnić, jak się godziły w Kondratowiczu, tradycyjność z postępowością i zachowawczość w ideach z radykalizmem w czynie.

VII.

Urodzony chudym szlachetką, poeta nasz wychował się jeżeli nie w nędzy, to w bardzo miernym stanie, który graniczył prawie z niedostatkiem i którego cechami były: ciągła niepewność o jutro, konieczność nieustającej ciężkiej pracy i troska o chleb powszedni. Z rodu swojego wziął Kondratowicz wraz z tradycjami szlacheckiej równości, wielką i podejrzliwą dumę, unikającą wszelkiego pozoru pańskiej łaski.

Kondratowicz jeżeli nie siebie, to swoje własne uczucie odmalował w Starym Bardyszu w gawędzie *Trenzłowe* napisanej „ku szlacheckiemu zbudowaniu“ (Borejkowskiżna, 1855, II 28).

„Co mi z tego? płacę czynsze;
Łask nie trzeba mnie...“

„Kto z faworów pańskich żyje,
Niechaj żyje zdrów.“

„Ma kasztelan żart na żart,
 Co innego rączy chart,
 Co innego dzielny koń...“
 „Jam w pamiętce charta dał,
 Wynagradzać ni się waź!...
 Oto teraz celny strzał
 Porachunek zrównał nasz!...“
 „Lubię pościel z końskiej skóry,
 Upominek mi się zda,
 Ale zysków Boże broń!
 Warta charta skóra ta,
 A za drogi byłby koń.“

Dostatków cudzych poeta nikomu nie zazdrościł, i nie było w nim ani osobistej zażyłości, ani pożądanja, ale wyrobiło się gorące współczucie dla każdego słabszego i pośledniejszego, więc w ogóle dla tej masy, nad którą górują zawsze połączone potęgi rodu, pieniędzy i rozumu. To uczucie całkiem demokratyczne było otwarcie i bez ogródek wypowiedziane w każdej okazji, bez najmniejszego względu na to, że się nie spodoba. Przy zetknięciu się z jasnym państwem wiersz Syrokomli zaogniał się i tryskał zółcią, żart przechodził w uszczypliwą satyrę, jedyny temat, przy opracowaniu którego Kondratowicz zadawał praktyce kłamstwo w określeniu

swoich upodobań satyryczno-literackich, które podał w żartobliwym wierszu do Kraszewskiego (VI, 203, Załucze 1848):

„Otóż wierszyk igraszka, dzieciństwo i kwita,
Ma nam żółcią i octem przegryzać jelita?
Jam jeszcze tych przysmaków nie kosztował
[prawie,
Lecz z góry nie smakuję w tej cudnej potra-
[wie...“

„Gdyby mi Jehowa
Włożył w usta prorocze, uroczyste słowa,
Dałbym się kamienować jako Szczepan święty.
Ale dziś...“

„Na co mam nosić guzy daremnie na czole?
Świat i bez naszych pieśni doskonale drzemie,
Na co mamy go budzić, kłopotać mu głowę?
Szczęść mu Bóg w preferansie na asy kie-
[rowe.“

Jasných panów Syrokomla znał tylko bardzo z daleka, z gorzkich wspomnień, żywej tradycji staroszlacheckiej.

Póki szlachta z zaścianków, święte przodki
[moje,
Byli panom potrzebni na sejmy i boje,
Głaskali nas, poili w uprzejmej postaci,
I nosiliśmy imię: miłościwych braci.

Minęły stare czasy, a wśród różnej zmiany,
I braterstwo i miłość zapomniały pany.“ (Pod-
kowa, I 166).

Dawne czasy przeszły, nastąpiło wyzyskiwanie,
ciężki, dotkliwy ucisk pieniężny:

„Zanadto żwawie, wesola drużyno,
Rąbałaś kordem i spijałaś wino;
W pańskich puharach dziś zostały męty,
Gorżka żółć z octem dla ubogiej braci,
A biada temu, kto czynszów nie płaci:
Za niwy, łąki, za wodę w kałuży,
Za dach nad głową, za promienie słońca,
I za powietrze, co na oddech służy,
Za polny kwiatek pokropiony rosą.“ (Kęs
[chleba, II. 120).

Kondratowicz wyrzuca panom ich lenistwo,
ich wytwory i zbytki, to że:

„Za jeden puhar starego wina,
Głodna i chłodna chłopska rodzina
Na rokby miała chleba i soli.“ (Dębo-
[róg, I, 77).

Całe morgi pszenne, żytnie,
Tu oddają plon swój tani,
Za ten kwiatek, który kwitnie

Na balowym czepcu pani.“
 „A za jeden blask jarzący,
 Co tu płonie nadaremno,
 Mógłbyś ludziom stu tysięcy
 Porozjaśniać głowę ciemną.“ (Dni do-
 [roczne, VII, 86).

Przy przejściu do szczegółów i typów, satyra staje się karykaturą, malowaniem bez proporcji i przesadnie jaskrawo i grubo jak w tem podaniu wpisanem do Dęboroga o wojewodzie trockim, który daje sute nahaje strzelcowi Hryciowi synowi Kiryły, który go swoją chłopską ręką za czub ze stawu wyciągnął; albo w tym dwuaktowym Komesie de Wątory „jeden kmieć a trzy dwory“ (Borejkowszczyzna 1856 r. V, 5—54), na którego przedstawienia zmówili się nie chodzić liczni wileńscy hrabiowie Wątorscy, tak że puste były łoża ich etage'u; list do Chęcińskiego w Krasz. 116), chociaż właściwie nie było się o co obrażać na tę dość przesoloną, ale najniewinniejszą w świecie farsę dworującą z fomy pańskiej w dziurawych butach. Prawdziwymi ulubieńcami Kondratowicza, kiedy zaniechał wycieczek w stare dzieje, w światy papierowe, byli nie pan i nawet nie brat szlachcic, ale w ogóle lud co najprostsz, bez

różnicy wiary i plemienia, nadewszystko bracia najmłodszy, chłop, z którym się Kondratowicz od lat dziecinnych oswoił i zbratał, i do którego miał serce pełne najczulszej miłości i opieki. Jedną z najpierwszych prób pióra była to prosta i blada w porównaniu z późniejszymi, gawęda gminna *Pocztyljon* (1845, Załucze I, 7), w której ze było kilka rysów żywo schwyconych z natury, kilka żwawo uciętych taktów trąbki pocztarskiej, skwapliwie T. Glücksberg zaanonsował w gazetach o prześlicznym wierszyku w ostatnim numerze *Athenaeum* — pierwsza w życiu drukowana pochwała, którą się poeta upił na całe bodaj życie. „Ukląkłem pisze w pamiętniczku, wzywałem Boga dziękując, uściśnałem żonę, kazałem nastawić samowar (o wielkie gody!) i kilka godzin płakałem z radości,“ choć doskonale wiedział, że to „zalecenie wydawcy, dla pokupu pisma“ (Ty-szyń. str. 170). Od tej daty, kiedy Kondratowicz jeszcze się nie opierzył i próbował tylko słabych skrzydeł do lotu, do końca poetyckiego zawodu, ileż obrazów narysował on z natury, ile skreślił typów prawdziwych a niesłychanie w prostocie swojej pięknych! Karczma i kruchta, ksiądz, organista i zebrany lud pod kościołem, żyd pachciarz i

wiarus służbista, pogrzeby i chrzciny, i wszelkie święta doroczne, dożynki i przednówek, przesuwają się naprzemian jak w latarni czarnoksiężkiej. Te ludzkie sceny i postacie nakreślone są na odpowiednim tle bagien i moczarów poleskich, tak doskonale pasującym do pokuty pasiecznika Chodyki, albo do krwawego końca niefortunnej wyprawy szlacheckiej z 1812 r. w Ułasie, albo weselszych choiną, brzozą, jałowcem pokrytych, piaskiem przesypanych, górzystych i urozmaiconych litewskich okolic.

Kondratowicz umiał dobrze malować tylko te krajobrazy z „palemońskiego lasu“ i tylko tych ludzi niepokąźnych w wilczurach i chodakach z łyka, szorstkich i rubasznych, ale otwartych, serce noszących na dłoni. Kiedy chciał wylecieć w świat szerszy, po za tych prostaków i po za te pejzaże, kiedy próbował stać się polskim Child Haroldem (1858 i 1859), i opiewać wrażenia z podróży po ziemiach ojczystych, nie sprostął zadaniu i na matowym szkłe kamery obskury, za pomocą której operował, nie odbiły się w posagowych rysach, które były zawsze na zawołanie u większego niż Kondratowicz mistrza Wincen- tego Pola, ani kraje i miejsca namaszczone przez historją, które przebywał, ani widma

dziejowe na cały ciąg wieków w tych miejscach zakłete. W tych wrażeniach z podróży jest dużo słowicznych tonów, dużo dowcipnych zestawień i przycinków Niemcom, zalewającym kraj z zachodu, brak tylko tego co mogło być ujęte z wysokości orlego lotu okiem do takiego patrzenia przywykłem. Górne kraje nie były całkiem przeznaczone dla Kondratowicza. Stosunki i przedmioty które znał i upodobał, były bardzo proste i miejscowe. Zdarzyło się, że te upodobania serdeczne zmierzały w tę samą stronę, w którą pędził niewidocznie podziemnem korytem prąd wieku i w której się ważyły epoki społecznej zadania. Na ludziach jego czasu od początków czwartego dziesiątka lat bieżącego stulecia, ciążyła kwestja włościańska jak zagadka, jak węzeł do rozwiązania. Niewiele można było mówić o tej kwestji, jeszcze mniej pisać; ale nie było młodej głowy niezajętej rozstrzygnięciem praktycznem tej kwestji na historycznej, ekonomicznej, albo jakiej innej podstawie. Kondratowicz nie był wcale ekonomistą, lecz nie potrzebował ani motywować swoich założeń prawnie, ani wywodzić ich historycznie od rycerza z pod Maciejowic, albo kogokolwiek-bądź ze szlchetnych marzycieli, którzy się opiekowali bądź romansowo, bądź czynnie

losem kmiotków w zeszłym lub bieżącym stuleciu. Wielkie problema było najradykałniej w świecie bez żadnej djałektyki rozciągnięte w duszy poety nieodwołałnym wyrokiem moralnego uczucia. Pod każdym innym względem Kondratowicz mógł uważać wiersz za igraszkę, to jest za dzieło czystej sztuki: w tym jednym punkcie rymując poczuwał się do pełnienia obywatelskiego obowiązku, za który dałby się nadobre ukamienować jako Szczepan święty. Od najpierwszych *Wędrówek* Syrokomla znęca się nad „szlacheckiem prawem bicia,” wciąż utyskuje nad tem, że:

Tam jaśnie oświecony, tam jaśnie wielmożny,
Owdzie sędzia graniczny, lub deputat drożny,
Każdy na swej stolicy rozparł się wspaniale,
Każdy rzemiennem berłem sprawa swe was-
[sale. (1858, Wilno VII, 126).

W Załączu jeszcze Kondratowicz przeklina browary (VII, 164), a pod sam koniec życia jeszcze radzi:

Wszyscy gospodarze,
Wszyscy idźcie tłoką,
Zaorzcie głęboko
Tę drogę od brzożki

Do *gospody* z wioski,
 Zabronujcie końmi,
 Zagrzebajcie dłońmi,
 Niech ślad i nazwanie
 Drogi nie zostanie:
 A zarodzi rola,
 Pojaśnieje dola!

(VII, 218, z r. 1860)

Nakoniec jeszcze w bardzo ранней dobie poetycznego zawodu Syrokomli, wylała się z pod jego pióra ta cudna satyra pod nazwą gawędy dziecinnej: *Lalka*, tak niepodobna do tego, co zwykle pisał, bo chłuszcząca bez miłosierdzia w świętym gniewie ludzi i obyczaje, a jak wiadomo, on sam nie należał wcale do liczby silnej ręki mistrzów słowa — oprawców:

Ty, lalko, tego nie wiesz, że my — to panowie,
 A jeszcze jest lud inwszy, chłopami nazwany,
 Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał su-

By pracowali na pany... [rowie,

Papa kocha swe konie, mama swego szpica,
 A chłopów każdy łaje, każdy kijem kropi.

Doprawdy, że aż szkoda... zkąd taka różnica?

Niegrzeczni muszą być chłopci!...

Ot i wczora, gdy papa zasnął po obiedzie,

Pytam się: czy to pięknie i co za potrzeba?
Weszli — zbrudzili pokój, krzyczą jak niedź-
[wiedzie:

„Chleba, panoczku, daj chleba!”

Więc kazano ich obić... i słusznie obici.

(Załączce 1851, I, 191).

Kwestję włościańską Kondratowicz pojmo-
wał ma się rozumieć jako poeta, bez jej wa-
runków, zakłóceń i przeszkód, i rozwiązywał
ją w jednym mgnieniu oka za pomocą uczu-
cia, które wszystko przemoże, byle było tro-
chę dobrej woli. Ztąd pod jego piórem wzra-
stała przedewszystkiem i powtarzała się sie-
lanka, dalszy ciąg tych sielanek, któremi we
wcześniejszej nieco dobie zaprzętały się jasne
i trzeźwe umysły i których nieprzerwany wą-
tek snuje się od Pana podstolego Krasickiego
do Pana Podstolica T. Massalskiego, i od tego
ostatniego do drugiej części Jordana. Tak
powstała druga część *Chatki w lesie* (1855,
Borejkowszczyzna IV 241—340) i *Więjscy
politycy* (VI, 139—199), utwory, które wraz
z niedokończonymi ułamkami (1860—1862
Wilno) bez nazwiska, stanowią próby poety
w zakresie komedji z życia społecznego. Zet-
knięcie się poety ze sceną datuje od przenie-
sienia się jego z głuchego partykularza na

szerszą widownię litewskiej stolicy. Dla niezmiernie chciwego zewnętrznych oznak współczucia, scena musiała działać jak nieprzewyciężona pokusa, obiecująca w jednej chwili więcej upojeń i rozkoszy, niż wszystkie gazetowe recenzje razem wzięte. Pokusa przemogła, a że poeta był bardzo utalentowany i talentem ozłacał wszystko zgoła czego się dotknął; więc podobało się z niczego prawie utworzone „dziwactwo dramatyczne“ *Chatka w lesie* — rzecz bez charakterów, bez żadnej zgoła intrygi i akcji, kilka djałogów, powiązanych nicią liryczną składającą się z zachwyków, nadziei i zawodów głównej osoby sztuki, Henryka. W tym Henryku poeta uosobił sam siebie. Henryk pisze pamiętnik i odpędza nabijającego się o kupno wydawcę. Marszałkówna Marja rozkochana w Henryku, marzy o szczęściu byle razem i choćby w chatce w lesie. Do Henryka podjeżdża w tej chwili słodziutki oszust sędzia Płodozmian z propozycjami nabycia za drogą cenę lichego kawałka ziemi. Henryk, by go kupić, sprzedaje wydawcy skarb serca, pamiętnik, buduje chatkę i zaprasza marszałkównę do tego raj, ale Marja po roku już zapomniała o chwilowem zachceniu, daje odkosza kochankowi i tylko rysunek chatki cho-

wa do albumu na pamiątkę. Obrazek był skończony, ale zmysł artystyczny podpowiedział autorowi, że niepodobna jedynego bohatera sztuki, dać na pastwę oszustom i ofiarę kobiecie, która go nie warta, wystrychnąć go całkiem na dudka. W tym samym 1855 roku, którego Maj miesiąc napisany na pierwszej części Chatki w lesie, dojrzała w Grudniu część druga, łagodząca przykre wrażenie pierwszej i rozwijająca dodatnią stronę ideałów poety na temat Horacyuszowski: „Hoc erat in votis: modus agri non ita magnus Hortus ubi et tecto vicinus aquae fons Et paululum sylvae super his foret.“ Niefortunny pod każdym względem poeta Henryk, przerobił się na rolnika, z chatki w lesie zrobił przesłiczną sadybę, a z okolicy, której stał się dobroczyńcą, coś nakształt rajy społecznego. Kochają go sąsiedzi, ubóstwiają chłopci okoliczni. Kiedy najdziwniejszy traf w świecie kazał marszałkowi wiozącemu znudzoną Marją za granicę załamać się z kolasą na gruntach Płodozmiana tuż koło chatki w lesie, w sercu Marji odżywa dawna miłość na widok życia tak rozumie czynnego. Kochanka korzy się przed poetą, a ojciec w dobrym humorze po smacznym obiadku błogosławi. Wielki liryzm, który nieprzerwanym ciągiem ożywia pierw-

szą część Chatki, walkę poety z zawodami wszelkiego rodzaju, wyczerpuje się w drugiej, w której poeta pobudował swoje idealiki blade, słabiutkie, nieprzechodzące prostej sąsiedzkiej uczynności. Jednocześnie uwydatniły się wady, które miały się odtąd niezmiennie powtarzać we wszystkich scenicznych utworach Kondratowicza, w skutku których nie kwalifikował się on wcale na dramatycznego autora. Dramat Kondratowicza jest raczej francuzkim dramatem ogólnych typów, niż angielskim indywidualnie pomyślanych charakterów. Każdy typ zarysowuje się żywo, jaskrawo, każdy sam prawie rekomenduje się publiczności: jestem ten a ten, mam taki to sposób widzenia rzeczy, takie upodobania i nałogi. Każdy typ, jakim był kiedy go wprowadzono, takim pozostaje nadal bez zmiany, z tą tylko różnicą, że pod koniec po nagadaniu się i nasprzecznaniu się z innego usposobienia osobami, dla zakończenia sztuki i rozplątania zawiłości niedających się inaczej rozgmatwać, bohater w stanowczej chwili bez żadnej dostatecznej na to przyczyny, zmienia sposób widzenia rzeczy, i przyzwyczajenia i staje się całkiem innym człowiekiem. Wątorski godzi się na Pachołowieckiego, Gnoiński przebacza synowi, Helena narzeczonemu, Hen-

ryk nabiera nie wiedzieć z kąd dziwnej w obcowaniu z ludźmi praktyczności, obżartuch marszałek staje się wyrozumiałym postępowcem, a Marja żałującą swej płochości Magdaleną. To drobiazgowo portretowanie osób zamiast uwydatnienia ich w działaniu, ten brak koniecznych odmian w charakterach w skutek wzajemnego ich na się oddziaływania, zastępowany nagłemi metamorfozami w życiu i usposobieniach niczem niewymotywowanemi sprawiły, że sztuki Kondratowicza nie posiadały warunków scenicznych. Chatka w lesie podobała się i miała powodzenie, tylko dla swych prześlicznych ustępów lirycznych i swych dobrych ludzkich intencji. Tymczasem wypadki szły szybkim pędem; kwestja włościańska, która była dotąd tylko widmem wywoływanem przez zakłęcie, stała się rzeczywistością i podzieliła towarzystwo na całkiem nowe partje i obozy. Kondratowicz nie mógł pozostać obojętnym na przebieg sprawy, od której wedle jego rozumowania cała przyszłość kraju zawisała, i wystąpił z nową sztuką okolicznościową¹, tendencyjną, napisaną w 1858 r. i graną w Wilnie w 1859 r. pod tytułem *Wiejscy politycy*. Walka przeszła w rodziny i powaśniła młode i stare pokolenia, stare reprezentowane przez sędziego

i podkomorzego, młode przez sędzica Stefana i podkomorzanę. Stefan — to ten sam Henryk, tylko w innej fazie, marzący o nowej jutrzni świata: „Duch Boży sam do chat wieśniaczych kołata, Wykłuwa się ze skorup gołabek skrzydlaty.“ Ojciec który się zapoli tykował czytując gazety, aż do opuszczenia wypłaty długu bankowego, patrzy z niedowierzaniem na postępowość syna:

„Zmęczy go postępowa nad chłopstwem mo-
[zoła,
Pocznie chłostać jak drudzy, i żyda przywoła,
Pocznie do wiejskich dziewcząt zalecać się
[dzielnie,
I zamiast szkoły wiejskiej, zbuduje gorzelnię.“

Obok starego bankruta niedołęgi, postawiony dusigrosz, procentowicz bogaty podkomorzy, którego praktyczna mądrość wyraża się w ten sposób: Nasz chłop, to jest kapitał, procent — jego praca.

„Chłop chce wódki, daj wódki, to za trzech
[ci skosi;
Żyd nie w tem zły, że chłopą rozpaja jak
[zwierzę,

Ale że nasze zyski sam do siebie bierze;
 Ja nie mam Żyda w karczmie, bo nie chcę
 [podziału.“

Podkomorzy dałby posażną pannę sędzi-
 cowi, widząc jak ten ostatni rażno gospoda-
 ruje, lecz majątek sędziego licytują za długi
 i Podkomorzy postanawia raczej go tanim
 kosztem kupić, niż dopomódz sąsiadowi. Wtem
 włość złożyła się na ratę bankową, by za-
 chować majątek w ręku dawnych dziedziców.—
 „Kupiliście już pana, woła Stefan, i z sercem
 i z duszą, Odtąd siedzieć będziecie na czyn-
 szowej roli.“ Zdaje się, że mniej zrobić nie
 można wracając do domu z chłopskiej łaski,
 ale praktyk podkomorzy strofuje Stefana,
 godzi się z nim jednak przez jedną z tych
 nagłych przemian, do których Kondratowicz
 tak skory:

„Z tym czynszem trochęś szybko wyrwał się
 [młodzieńcze,
 Ale na tem nie stracisz, ja ci za to ręczę,
 Bo włość przygotowana, moralnie bogata,
 A jest i z moralności pieniądze intrata“ (?)

Ta słabo sklecona i bojaźliwa w swych ten-
 dencjach sztuka, nie była programatem przy-

szłości jak „Powrót Posła“ Niemcewicza. Zaznaczyła ona przelotną tylko chwilę w usposobieniach ogółu, chwilę przejściową pomiędzy dziesiątkami lat, kiedy nie wolno było poruszać stosunków włościańskich, a ustawą która miała stworzyć całkiem inny stan rzeczy, tak radykalnie odmienny od dawniejszego, że już i oczynszowanie stawało się żądaniem zacofanem. Zamiast zależności włościan, nastąpić miało stanowcze odosobnienie po za którem w przyszłości już mogły się wiązać tylko proste stosunki sąsiedzkie. Zaczęły się ogromnej wagi przygotowawcze roboty w komitetach gubernialnych z właścicielami ziemskich i członków rządu mianowanych. Dziś niepodobna nieprzyznać, że niewielki procent ludzi w tych komitetach pojmował dziejową wagę chwili i doniosłość rokowań; większość zaś pod najpiękniejszymi w świecie pozorami, starała się zatrzymać w ręku wymykającą się siłę roboczą. Wśród tych wczorajszych postępowców, którzy pod naciskiem chwili stawali się prawie wstecznikami, Kondratowicz z zadziwiającem jasnowidzeniem pojął stanowczą konieczność radykalnego rozstrzygnięcia kwestji. Oburzony, że społeczeństwo, o którym tak wysokie miał wyobrażenie pod względem ducha ofiary, nie

odpowiada tym wyobrażeniom i waha się, Kondratowicz wybuchnął gniewnym wierszem: „na wyzwolenie włościan,“ który zdradzał w nim daleko cięższego w danym razie polityka, niżeli biegli rachmistrze i przekonywający mówcy komitetowi.

„Myślałem sobie: napróżno krzykacze,
Rzucali błotem na szlacheckie miano;
Jutro, pojutrze na oczy zobaczę,
Że nas niedarmo szlachetnymi zwano...
Przecież się stało — kraju mój rodzony,
Wieniec twej cześci odarty w tej chwili:
Ojcowie twoi własnymi imiony
Podali dziejów ohydnej pamięci
Swoję praktyczną opiekę nad gminem.
O, wstyd mi Wilna, nie chcę być Litwinem
I hańba mojej herbowej pieczęci!“
(Wilno, 1859)

VIII.

Ten szlachcic chłopoman, pamiętający o herbowym swoim klejnocie nawet kiedy apostrofował „świetnych ojców powiatów“ w imię jużciż nie zasad prawa własności, umiał się gniewać i roznamiętniać wtedy tylko, gdy coś obrażało nie tyle przekonania ile raczej upodobania jego demokratyczne, mocniejsze niż wychowanie szlacheckie. W sprawy bieżące wtrącał się on wyjątkowo i dorywczo, szczególnie gdy chodziło o obronę ludu wiejskiego którego był na Parnasie urodzonym przedstawicielem i rzecznikiem. Na inne cele i zadania nie starczyło mu wcale tej zawziętej i wytrwałej złości, która w połączeniu z talentem poetyckim wydaje satyrę obyczajową. W cytowanym już wyżej wierszu do Kraszewskiego (1848, Załącze VI, 201) sam on powiada o sobie, że nie smakuje w cudnej potrawie z żółci i octu i nie czuje się powołanym:

„Rozdzierać własne piersi dla porodu dziecka,
 Zakrwawiać biedne serce, wstrząsać nerw po
 [nerwie,
 Rozogniać mózg, co głowy ledwie nie rozer-
 [wie,
 ...A tak z rozbitą głową i rozdartem łonem
 Rzucać się jak szaleniec nad brudnym bru-
 lonem.“

Nasz poeta rodził wiersze bez długiego namysłu od pierwszego rzutu w chwili nagłego natchnienia, i to było najlepsze co się w tak niespodziany sposób urodziło. Zamiast przegryzającej jelita złości, natura go uposażyła innym, mniej może pożytecznym, lecz przyjemniejszym darem takiej niewyczerpanej wesołości, takim brylantowym dowcipem, taką zdolnością śmieszyć byle śmieszyć, że grając na swojej drewnianej lirance, mógł ten czarodziej na przemiany, albo kazać płakać zebranemu towarzystwu, albo zniewolić je do skoczego tańca. W tej jak fala ruchomej fantazji, przedmioty odbijały się co chwila inaczej, stosownie do nastroju poety, do tego czy był w usposobieniu rzewnem, czy w żartobliwym. Można rzec, że poeta posiadał przymiot niesłychanie rzadki dwojakiego spojrzenia na każdy przedmiot i przedstawienia go

wedle upodobania, albo ze strony poważnej i patetycznej, albo ze strony zabawnej i komicznej. W utworach Kondratowicza, szczególnie przy zestawianiu rzeczy mocno opracowanych z ulotnemi, natrafiamy na takie przeciwieństwa, które kazałyby przypuścić, że je chyba nie jeden człowiek pisał, gdyby zkadınad nie było wiadomo, że wyszły z jednego źródła i że przeciwieństwa nie znaczą nawet w autorze zmiany przekonań i dążności. Były to niepohamowane wybryki artysty, popełniane na osobności, kiedy był nowym pomysłem jakby opętany, przeciwko temu, co tenże artysta już jako kapłan Apollina ogłaszał pełniąc swój urząd poetycki. Wiadomo, jak głęboko religijnym człowiekiem był Kondratowicz, a jednak wszak to jego luźny epigramat: „Gdy Chrystus konał dla człowieczych zbrodni, Stojąc pod krzyżem wszyscy byli głodni“ (1859, VII, 173). Zestawmy starannie opracowaną, pełną namaszczenia postać Zygmunta III spowiadającego się u Skargi w Starych Wrotach (1856, III, 9) z tym obrazkiem z Wrażen Pielgrzyma (1858, VII, 141), malującym tegoż Zygmunta:

„Z krzyżem i mieczem, z wysokiej kolumny,
Swemi dziełmi bezładu uśmiecha się dumny,

I zdaje się powiadać: Narodzie, narodzie!
 Ja ten miecz wyostrzyłem, który cię prze-
 [bodzie!
 A ten krzyż wyciosany ręką Jezuity,
 Na nim za twoje grzechy zostaniesz przy-
 [bity.“

Najciekawszym wszakże przedmiotem do zestawień jest niezaprzeczenie zagadkowy poniekąd wiersz „Przeszłość,“ odszukany po śmierci Kondratowicza i umieszczony w Kalendarzu Ilustrowanym Jaworskiego na rok 1874, a datowany z Zacierzewia 1851. Z Zacierzewia, dworku Załuckich sąsiadów Kondratowicza Paszkiewiczów, datowane są inne jeszcze poezje Kondratowicza przed przeniesieniem się do Wilna (X, 331, 334); odpowiada tejże wskazówce i rok 1851. — Wiersz ten odstręcza naprzód pewnym rodzajem optymizmu (Dziś kiedy piersiom tak błogo, Gdy się kochamy swobodnie), wiadomo zaś, że Kondratowicz nie był nigdy optymistą, a cóż dopiero epikurejczykiem. Powtore razi on dziwnym stosunkiem do przeszłości. Przez całe życie poeta klęcząc przemawiał do „świętej“ przeszłości. Takie były usposobienia jego ostatnie, ale takie i najpierwsze, kiedy jeszcze w Załuczu (1845 r. VI, 157), wybierał się

z gromnicą w grób ojców, badać wszystko wielkie, szlachetne w prochu ich kości, by wrócić z mogiły z wielką pieśnią dziejową. Kilka razy poeta szczyt bohaterstwa kobiety upatrywał w oddaniu się bez miłości w związki małżeńskie, dla dobra kraju lub ludu. Znie-nacka niewiadomo dlaczego tenże poeta ude-rza na tę przedtem i potem ubóstwianą prze-szłość za burdy, swary i rozpustę po za do-mem, za upośledzone położenie kobiety w do-mu, słowem za wszystkie grzechy, które ciążyą nie na historii polskiej w szczególności, lecz na całych wiekach średnich. Wiersz „Prze-szłość“ tak odbija od wszystkiego, co pisał Syrokomla, że wielu, a w tej liczbie i pan Korotyński, uważają go za nieprzezwaną iro-nję, za wyśmiewanie zapalonych przygania-czów przeszłości. Trudno się zgodzić na po-dobne zapatrywanie się: rzecz zdaje się pi-sana na serjo, ciąg w niej jest, ale trudno dociec ironji. Zważmy, że w dziejach umy-słowego rozwijania się poety rok 1851 jest bardzo znaczący, Jest to pamiętny rok po-dróży do Wilna (Kraszewski str. 52, Styczeń 1851) i gęstych a częstych nawiedzin w Za-łuczu uniwersyteckiej młodzieży (str. 45, Sierpień 1851). W tym roku Kondratowicz był prawie wciągnięty w wir przeróżnych

ujadających się stronnictw i miał do czynienia z najnowszej daty teorjami religijnemi, historycznemi, społecznemi. Nim go rozboleła głowa od krzyków postępowych, nim się odsunął stanowczo i od wstecznych zachowawców i od gwałtownych burzyeieli, musiał mieć choć raz do czynienia z pokusą i uledz urokowi, jaki wywiera na młodą zapalną wyobraźnię śmiałość pomysłów. Może po jednej z takich żwawych dysput, pod wpływem nawianej nań burzy pomysłów, streścił on w sobie właściwy sposób, nowo roztaczające się przed nim widoki. Ślad tego bawienia się z burzycielstwem wieku rzucony był albo złożony gdzie do biurka, harmonijna dusza poety nie dała się unieść w bezbrzeżne morze rojeń o przebudowaniu ludzkości, wrócił do dawnych upodobań. Zapomniany szpargalik ukazał się dopiero po śmierci poety, i nie ujmując jego sławie, dodaje tylko nowy rys do charakterystyki: dowodzi, że ten człowiek mógł się odmieniać jak Proteusz i że odpowiadał jak echo na wszystkie głosy czasu.*)

*) Ponieważ wiersz Kondratowicza *Przeszłość*, po ogłoszeniu go w Kalendarzu Jaworskiego, wywołał był rozmaite sądy i sprzeczki, przeto powyższy ustęp artykułu Redakcja Ateneum zakommunikowała

IX.

Kondratowicz był doskonale świadom swojej potęgi w żarcie lecz poezje brał na serjo, nie robił z błaznowania profesji, jak Heine, a jeżeli puszczał cugle dobremu humorowi, to tylko w małym kółku pomiędzy najbliż-

p. Korotyńskiemu z prośbą o wyjaśnienie rzeczy. P. Korotyński odpowiedział nam jak następuje:

„W roku 1871, podczas prowadzenia przezemnie zbiorowego wydania *Poezji* Kondratowicza na dochód jego rodziny, p. Kamil de Bellier, z Mińska gubernialnego, nadesłał mi znaczną liczbę ulotnych wierszyków Syrokomli, przechowanych w ręku jego żony pani Józefy z Paszkiewiczów, zamieszkałej niegdyś we wsi Zacierzewiu pod Świerżniem, o milkę od nadniemeńskiego Załucza, lat 9 dzierżawionego przez Kondratowicza. Były to prawie bez wyjątku wierszyki okolicznościowe, w niejkiej części pisane w samym Zacierzewiu pod wrażeniem przelotnych okoliczności. Niektóre z nich, mające pewną wartość artystyczną lub biograficzną, zamieściłem w tomie X. *Poezji* Kondratowicza; nadesłany jednak razem z nimi w autografie wiersz *Przeszłość*, nie mógł

szymi przyjaciółmi w wierszach, które chociaż później zostały oddrukowane, nie były jednak początkowo do druku przeznaczone. Zaczęło się od okolicznościowych wierszyków,

być umieszczony z odpowiednim objaśnieniem z listu p. de Bellier. Podałem go w lat kilka w redagowanym przez siebie *Kalendarzu Jaworskiego* bez żadnych już objaśnień, w przekonaniu, iż myśl tego utworu, dla mnie zupełnie jasna, nie ulegnie dwostemu wykładowi. Wiadomo jednak, iż stało się przeciwnie.

„Ponieważ list p. de Bellier z r. 1871 zawierał się w drukarni Ungra między różnorodnymi rękopismami wydania *Poezji Kondratowicza*, a podane w nim szczegóły wyszły mi były z głowy, przeto obecnie ponownie prosilem o wyjaśnienie okoliczności, które towarzyszyły powstaniu owego wierszyka. Odpowiedź dana przez panią de Bellier, łaskawemu na mnie lubo osobiście nieznanemu korespondentowi *Tygodnika Rolniczego* i *Gazety Handlowej* p. Aleksandrowi Jelskiemu, oraz siostrze p. Aleksankra Walickiego (znanego z *Poezji Kondratowicza*, gdzie jest wymieniany pod pseudonimem *Żeleźniaka*), była następująca:

„Kondratowicz w r. 1851 jeździł do Wilna w interesie dzierżawionego przez siebie Załucza i drierżawionej przez rodziców pobliskiej Tulonki, które zależały od zarządu dóbr radziwiłłowskich w Werkach, a na które czyhał już „sąsiad bogaty,” znany z poematu p. t. *Kęs chleba*. Strapiony domowemi interesami, trafił do Wilna na głośną podówczas sprawę Konstantego Dybowskiego i kilku innych osób, w której pewni Wilnianie niezaszczytną odegrali

od dworowania ze znajomych, od przedrzeźniania Child-Haroldowego pożegnania (VI, 126) Horacjuszowej Ody (Quem tu Melpomene semel):

„Komu raz Muzo usiądziesz na karku...
 Ten już ulubi gdzieś pod drzewem suchem,
 Lub przy kałuży swej wioski,
 Ległszy do góry wychudzonym brzuchem
 Układać rymy i zgłoski. (Załączce 1844 r.,
 VI 143).

Nastąpiły potem zabawne epistoły do współbraci literatów, i pocieszne trawestacje bogów i wielkich ludzi Grecji i Rzymu, jak w ope-

rolę. Wrócił więc z Wilna znękany i rozdrażniony do najwyższego stopnia, i w takim usposobieniu przyjechał do zawsze przyjaźnego sobie Zacierzewia, gdzie mieszkała pani Paszkiewiczowa z dwiema córkami (synowie uczyli się w Dorpacie). Panna Józefa (dziś pani de Bellier), oraz panna Barbara (dziś pani Remaré) wiedziały, iż najlepszym sposobem ożywienia poety był duch przekory. Kiedy więc wpadnięto na rozmowę o przeszłości, zaczęły wbrew znanemu usposobieniu poety wysławiać terażniejszość, a wygadawać na przeszłość — jak sam wiersz świadczy, z tematu istnie panieńskiego: „Nie umiano w Polsce *kochać się*, a więc nic dobrego tam nie było.“ Kondratowicz nie mógł sprostać dwom przeciwniczkom, więc zamilkł, ale porwał za pióro i cisnął na papier ów wierszyk, który w Zacierzewiu pozostał. Nie było

retkach Offenbacha, z większym tylko smakiem, dowcipem i skromniejsze. Eneasz wkracza posuwiście paląc tytuń z krótkiej fajki na tyryjskie salony Dydony (VI, 277 do

to więc potępienie, ale obrona przeszłości w formie ironicznego urągowiska.

„Cierpliwsze zastanowienie się nad treścią wiersza *Przeszłość* do tegoż samego prowadzi. Nie mógł poważnie mówić Kondratowicz o „dniach ubiegłej starzyny,“ gdy w tymże samym czasie błagał Boga we wstępie do *Kanonika Przemyskiego*: „Niech święta starożytność stanie mi przed oczy.“ Nie mógł poważnie mówić, że Polacy walczyli z Tatarami dla tego tylko, że „morderstwa lubili;“ bo właśnie najpospolitszym w dziełach poety tematem jest sławienie posłannictwa Polski jako przedmurza od hord azjatyckich, poczynając od Lignicy a kończąc na Wiedniu. Nie mógł poważnie utrzymywać, że Sarmaci „w zbójeckiej lidze“ wydali za mąż Jadwigę; w ligę tę bowiem wchodził tylko interes kraju i matka Jadwigi, nienawidząca Niemców i nie chcąca wydać córki za Wilhelma. Nie mógł poważnie mówić o otruciu Barbary przez Polaków, skoro umarła śmiercią naturalną, kiedy nawet pomówisko otrucia padało tylko na Włoszkę Bonę. Nie mógł poważnie ubolewać, że obrona dobrej sławy w Zembocinie lub bohaterska obrona Trębowni nie dopuszczała „państwa Kupida.“ Nie mógł poważnie nazywać Jakóba Sobieskiego „pijakiem,“ kiedy wespół z p. Spasowiczem tłómacząc w tym samym roku *Dziejopisów krajowych* dla Wolfla, wybrał sobie do przekładu tegoż Sobieskiego, a w życiorysie jego pisał: jak Jakób Sobieski „rósł we wziętości u króla i ziom-

Rumb.). Owidjusza wiozą na szuhalei do Pińska podczas gdy Augustówna Julia do junkra pretorjańskiej straży się zaleca (VII, 254). A jednak ten niewyczerpany złoty humor

ków,“ jak „skarbił ich ufność w swej prawości i talentach,“ jak „piękne imię dla się zjednywał,“ jak był mądry i umiarkowany,“ jak odznaczał się „duchem pokornej pobożności i szczerzej wiary, którą tak pięknie napotykać w wyższych umysłach,“ jak wreszcie „był większym od syna“ Jana. Co do tego ostatniego, nie mógł znów poważnie mówić poeta, że był „bandytą,“ kiedy w tym samym czasie, pisząc przedmowę do wydanego przez Glücksberga przekładu Coyer'a, właśnie kilku nawrotami uwydatniał „rycerskość“ charakteru Jana III, nie folgując jego słabościom. Nie mógł nareszcie w r. 1851, w chwili najtwardszej reakcji w Europie go wypadkach 1848 i 1849, mówić poważnie, że „piersiom było błogo,“ bo się „kochało swobodnie,“ więc należało „zdeptać wspomnienia ojczyste.“

„Wiersz ten zatem nie zgadza się nietylko z poprzednią i późniejszą działalnością pisarską Kondratowicza, ale i sam w sobie jest wierutną niedorzecznością, jeśli go dosłownie brać zechcemy. Wzięty zaś ironicznie, zgadza się i z okolicznością swojego powstania, i z całą dążnością Kondratowicza, i ze zdrowym rozsądkiem. Kondratowicz nie patrzył ślepo na przeszłość krajową, widział i wykazywał jej skazy w *Dziejach Literatury*, w innych pismach prozaicznych, nawet w niektórych wierszowanych. Ale paskwilu na tę przeszłość nie pisał.

„Cóż jednak stało się powodem dwoistego wykładu jego wierszyka *Przeszłość*? Sądzę że brak pre-

możnaby było z wielkiem dla sztuki dobrem spożytkować. Sama parodja jest już rodzajem sztuki aczkolwiek pośledniejszym, wymagającym talentu; Kondratowicz miał ten talent w wysokim stopniu wrodzony, rozwinać się tylko w pełni nie zdołał, bo spólcześni ludzie pochopniejsi byli do uniesień i zachwy-
tów, niż do wyszydzenia i niezawodnie krzyk-
nęliby na zdradę, gdyby komu do głowy

czyji w niektórych jego ustępach, poruszenie szczegó-
łów obosiecznych, co tłómaczy się pośpiechem pi-
sania i zostawieniem utworu bez przeróbek. Kondra-
towicz powiada, że „sejmowe obrady płynęły w kłó-
tniach *jedynie*,” tak nie jest, skoro dzieje zapisały
sejm wiślicki, czteroletni i parę innych podobnych,
ale większość sejmów rzeczywiście schodziła na kłó-
tniach. Powiada, że „braterskie biesiady były jaski-
niami pijaństwa;” tak nie jest, skoro w kolebce
narodu złożono legendę o gościnnym Piaście, ale za-
iste zbyt dużo było biesiad pijackich. Ta więc nie-
ścisłość utworu dała powód do mylnego wykładu.

„Listy Kondratowicza do pani Paszkiewiczowej
(około 1851 r.) świadczą, jak wysoce kładł poeta
przyjaźń domu w Zacierzewiu. W chwilach dla sie-
bie najsmutniejszych Kondratowicz ze zwykłą sobie
dobrocią pisał się moim „bratem po sercu i piórze“
(1861 r.). Wolno mi tedy może twierdzić, że i ci,
którzy wiersz *Przeszłość* nadesłali, i ten, który go
ogłosił, są tyle przynajmniej dbali o cześć imienia
poety co jego obrońcy z r. 1874.

Wincenty Korotyński.

przyszło zamiast odlewać z brązu wielkie postacie historyczne, powykrawać je z tektury ustroiwszy jak na maskaradę. Kondratowicz był zanadto dobrym patriotą, by się miał nawet żartem dopuścić takiego świętokradztwa; najwyżej na co mógł się zdobyć puszczając wodze swej nieporównanej werwie żartobliwej, to wziąć w obroty jakiego ciurę, marudera lub niedołęgę, jaką śmieszoną figurę z podania lub herbarza, w rodzaju Comesa de Wątory albo Beliny rycerza na czatach (II, 332, Borejkowszczyzna 1856), jakiego dziwaka albo głupca, którego napiętnował na wieczne czasy dosadny dowcip szlachecki w przysłowiu. Narodowe przysłowia posłużyły dla Kondratowicza za źródło, z kąd pobrał najpiękniejsze swoje gawędy: Matyska, Zabłockiego, Żebraka z rzemiosła, a przede wszystkim wybornego pana Marka w piekle, od którego, za to, że za życia był wielkich panów pieczeniarem, stronią panowie, odwracają się bracia szlachta, uciekają chłopci tak, że pan Marek przez całą wieczność tłucze się sam jeden:

„Idzie się kłaniać szlachcicom sąsiadom,
Lecz odepchnięty od szlachty i kmieci,
Nanowo panom swe służby zaleci“ (1852 r.
I, 332).

Opracowywanie przysłów naprowadziło Kondratowicza prawie przypadkiem na pomysł prawdziwie głęboki, na żyłę drogiego kruszcu prawie niewyczerpaną: oto poprostu zachciało mu się jednego z okrzyczanych historycznych głupców rehabilitować, innem na niego okiem popatrzeć i dowieść, że społeczność nie poznała się na panu Filipie z Konopi. Wnet po przeniesieniu się do Wilna (1853 i 1854), zasiadła mu w głowie myśl gawędy, długo nie mógł znaleźć odpowiedniej formy i zwierzył się Kraszewskiemu (str. 78): „Czekam aż mi w kałamarzu atrament zakipli. Szanowny Filip okrzyczany, że z czemś wyrwał się nietrafnie. Był to podług mnie człek nie niższy, ale wyższy od swoich współczesnych. Powiedział coś arcy mądrego, ale że społeczność ówczesna nie była jeszcze usposobioną do przyjęcia prawd podobnych, więc pocziwca wyśmieli i podali w przysłowiu. Czasem pod karą szyderstwa nie godzi się być wyższym od współczesnych.“ Wreszcie dojrzał mały zaokrąglony poemacik z siedmiu fragmentów z epilogiem, obejmujący cały żywot uczciwego człowieka niepraktyka, który robi najlepsze rzeczy, ale nie w miejscu i nie w porę. Żakiem będąc nie uznaje mitologicznych bóstw i za to bierze plagi; broni

Żydów od religijnej napaści, i słynie przeto jako wódz Izraela; zamiast wziąć pannę ładną i posażną, ułatwia jej z dobrego serca zamążpójście za szczęśliwego rywala; służąc u wojewody, kreskuje na wyborach za przeciwnikiem jego skarbnikiem, za co i wojewoda go wypędził, i skarbnik na ucztę nie zaprosił. Na domiar niepowodzeń obrany pośłem na sejm, Filip wnosi zdrowie chłopów i oświadcza, że będzie obstawał za ich równouprawnieniem a opodatkowaniem szlachty, za co zbity i porąbany przez szlachtę, naraża się jeszcze przed śmiercią plebanowi. tłumacząc mu, że grzech brać dziesięcinę od ubogiej włości, że nie każdy zbawiony kto suchejni pości. Naturalnie pleban odmówił absolucji (II, 153--170). Poczciwy, dobry, ale nieszczęśliwy pan Filip pozostanie nazawsze jedną z najudatniejszych postaci stworzonych przez Syrokomlę i urobionych prawie z niczego, bo przysłowie dało mu tylko gołe nazwisko z maleńkim przymiotnikiem człowieka działającego nie w porę. Założenie zawarte w przysłowiu, mogło dać materiał przedewszystkiem na farsę. Mniej pomysłowy autor, poprzestałby na przeprowadzeniu typu niezdary, raptusiewicza, przez szereg coraz to komiczniejszych sytuacji. Kondratowicz

wziął rzecz więcej na serjo, rozszerzył i zgłębił pierwiastkowy pomysł, i z człowieka, który się wyrwał z konceptem ni w pięć ni w dziewięć, zrobił męża żadnego rzeczy wielkich i dobrych, ale niemiłych współczesnym i dla wieku całego będących nie w porę. Z tej małej zmiany rodziła się już sama przez się, wielka satyra historyczna i odkrywały się niespodzianie najnowsze i najciekawsze widoki. Jeżeli Filipa z Konopi wyszydono niesłusznie za to, że miał dobre i ludzkie serce i ujmował się za krzywdą, więc jakież musiało być społeczeństwo, które wtrąciło w błoto Filipa a z nim razem i innych jak on tysiące? Wszelki krok w dziejach w tył, czy naprzód, odbywa się kosztem niezliczonych egzystencji ludzkich i znaczy się krwawemi śladami. Uprzytomnić w pamięci nie to co zwyciężało, lecz co zostało zmiażdżone, sponiewierane i zabite, znaczy często to samo, co zrobić olbrzymi wynalazek, wprowadzić myśl na nowe tory, obok zbyt uczęszczanej krainy chwały dziejowej, odsłonić drugi kraj nieraz jeszcze obszerniejszy, dziejowej nędzy. Trzebaż dowodzić ogromnej wagi studjów artystycznych w tej nowej krainie albo dyssekcji dziejopisarskich? Kilka takich dyssekcji dokonanych nienamiętnie z zimną uwagą

naturalisty, posunęłoby nas niezawodnie dalej i uregulowałyby lepiej nasz stosunek do przeszłości, aniżeli wszystkie dotychczasowe historie, boby się odsłonił obraz przeszłości pełniejszy, prawdziwszy, doskonalszy niżeli te pastelowe roboty, które dotąd posiadamy. Kilka pokoleń zaledwieby zdołało wyzyskać całkowicie skarb wynaleziony przez Kondratowicza. Nasz poeta jednak nie dał sobie rady, nie wiedział co z tym skarbem zrobić, i znalazł się w położeniu tego Szwajcara pod Granson, który dopadłszy do namiotu Karola Śmiałego i zabrawszy największy jego brylant, sprzedał go za kilka groszy, uważając go za szklanne świece. Z przygód i doświadczeń Filipa z Konopi, Kondratowicz wyciągnął ten tylko wniosek, bardzo błahy czy go weźmiemy na serjo, czy go będziemy uważali za ironją:

„Nie idź za gorącemi twej duszy popędy,
 Co ci korzyść przynosi dopatruj się wszędy,
 A serce miej zamknięte chociaż twarz otwartą;
 Nim się na co poświęcisz, rozważaj czy warto?
 Chowaj zimną ostrożność i w czynie i w słowie,
 Bo Filipem z Konopi każdy cię nazowie.
 Ognistych bohaterów minęły już lata:
 Krew, łzy i pośmiewisko — taka ich zapłata!“

Gdyby poety zapytano: a kiedyż były lata ognistych bohaterów? odpowiedziałyby zapewne, że nigdy. Przepisy ślimaczej moralności z racji Filipa, podane są żartem, taką moralnością Kondratowicz się brzydził: on — człowiek prawdomówny i niepraktyczny, on z serca jeżeli nie z czynów wielce podobny do Filipa z Konopi, różniący się od tego ostatniego tem tylko, że nie miał w sobie przedsiębiorczego reformatorskiego ducha pana Filipa, że raz zamieszkawszy w zaczarowanym kraju ubóstwionej przeszłości, już miał ją za taką przez całe życie mimo doznawanych od czasu do czasu wahań, i nawet w myśli nie pojął możliwości zstąpienia w Dantejskie koła innej, zapoznanej, w otchłań, w której dotychczas skwierczą na historycznym ogniu dusze pokrewne panu Filipowi z Konopi.

X.

Nie żądamy zawiele i nie poczytujemy mu za złe, że nie był nowatorem, że nie dokonał rzeczy, do których ani z natury nie miał popędu, ani usposobieniem wieku nie był pobudzony. Brakło mu nowych idei i wielkich passji, dwóch warunków, bez których niepodobna być duchowym wieku swego panem i władcą. Organizm umysłowy nadzwyczajnie miękki, delikatny, wiotki, kojarzący największe w świecie przeciwieństwa, oprzędła jeszcze w kolebce ze wszech stron tradycja domowa. Tradycja ta wszakże trzymała go na uwięzi tylko swojemi nici złotemi wyrobionych cnót i dobrych obyczajów; inne nici się porwały, nic ciemnego, brudnego, ograniczonego nie przystawało do tej wspaniałej i szlachetnej natury, złożonej z samych błękitów i promieni słonecznych. Umysł to był przytem wcale niepospolity, intuicyjny, otwarty na wszystkie prądy i powiewy ducha cza-

su, w pólśłowa chwytający nowe pomysły i instynktowo pojmujący społeczne potrzeby. Ponieważ epoka, w której żył, była bezbarwna, i społeczeństwo skazane było na nieczynność, więc i te prądy ducha czasu działały niewidomie przez ustną propagandę i wpływ literatury, przez teorię i rozumowanie raczej, niż przez doświadczenie. Lecz i z tych wielkich niedojrzanych wpływów poeta przyswajał sobie niewszystkie pierwiastki. Dojmujące zwątpienie, rozpasanie zmysłowości, podejrzliwa zawiść nieznosząca żadnej^o wyższości, rozdarcie się społeczeństwa na skrajne przeciwieństwa, pozostały mu na zawsze obcemi; on wciągał w siebie i assymilował tylko to, co w demokratyzmie i radykalizmie było jak najbardziej pociągającego: wiarę w nieprzerwany postęp, w doskonalenie się rodzaju ludzkiego i gorące pragnienie łączenia się i bratania ludzi i narodów, za pomocą głównie moralnych łączników, przez dbałość o wielkie ludowe masy i ich uszlachetnienie. Ze stopniowych żywiołów starych i nowych złożyła się cudna jedność, niby łuk tęczyowy przerzucony pomiędzy dwoma światy, po których jak po moście próbował iść poeta w ślad za postępem o tytańskich ramionach, głoszącym już zawczasu zwycięstwo i przepowia-

dającym, że fałsz i ciemność pokona. Poeta wołał o tym postępie:

„Boże! kiedy się puści w swe drogi sokole,
Niech nie zapomni krzyża położyć na czołe,
Dopomóż jego śmiałej a poczciwej chęci,
Niech mu się z wysokości głowa nie zakręci,
Ani ramiona opadną.“

(Zegar, VII, 41, Borejk. 1857).

Okazało się później, że most w myśli pobudowany był tylko złudzeniem optycznym, że sam postęp okazał się prawie przywidzeniem, marą, przynajmniej że ten postęp moralny, który miał na celu poeta, odbywa się nieznacznie, powoli, drobną codzienną pracą, nieznacznymi wyteżeniami w jedną stronę połączonych usiłowań, ślimaczym krokiem a nie orlim lotem. Przeciwiństwa uwydatniły się daleko większe, niż można było się spodziewać. Dwa przeciwległe lądy tradycji i postępu zdają się być jeszcze bardziej oddalone i większa pomiędzy nimi morską głębina. A jednak łączyć je trzeba i most pomiędzy nimi budować, tylko inaczej, „stopniowiej, systematyczniej i z twardszego materiału.“



39_

974353 / 11075

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

83553 *L-Opr.*

Biblioteka WSP Kielce



0218699